



**BAJECZKI PRAWDZIWE**



TEJŻE AUTORKI

W WYDAWNICTWIE GEBETHNERA I WOLFFA

UKAZAŁY SIĘ:

**KSIĘŻNICZKA KATARZYNA**

Powieść dla dorastającej młodzieży. Str. 181 z ilustr.

**MIESZKANIEC PUSZCZY**

Powieść dla młodzieży opracowana według Coopera.  
Str. 416 z 5 rysunkami C. Jankowskiego.

**MŁODY WYGNANIEC**

Przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich. Opracowane według R. Rotha. Str. 392 z 8 rys. St. Wolskiego.

**WYPRAWA PO SKARBY UKRYTE WŚRÓD PUSZCZY**

Przygody podróżników w Australii. Str. 160 z rycinami.



*autok  
uwa*  
M. J. ZALESKA

# BAJECZKI PRAWDZIWE

WYDANIE DZIESIĄTE

Z 6 RYCINAMI



NAKLAD  
GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW - 1940



I. 492.427

WYDAWCA: GEBETHNER i WOLFF  
KRAKÓW, RYNEK GŁ. 23  
Nr. 13/40a

---

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15

1952 D 202/52







Na wysokim wzgórzu rosła wspaniała sosna.



## SĘDZIWA SOSNA

Na wysokim wzgórzu rosła wspaniała sosna. A była tak sędziwa, że zupełnie pamięć straciła i nie mogła sobie przypomnieć, ile lat miała. Pomimo starości swojej trzymała się jeszcze prosto i gęsto była pokryta ciemnozielonymi igłami, które nigdy na zimę nie opadały, co zresztą jest u wszystkich sosen w zwyczajcu. Krzepka ta staruszka widząc pobliską dębinę ogołoconą z liści przez całą zimę, myślała sobie, że ród sosen jest daleko szczęśliwszy. Wszystkie jej rówieśniczki, towarzyszeki młodych lat, od dawna już nie żyły, ona jedna doczekała się tak sędziwego wieku i cieszyła się widokiem licznej rodziny, bo prawie wszystkie młodsze sosny, które ją otaczały, były jej dziećmi i wnukami.

Przez całe życie sosna ta wydała mnóstwo szyszek. Szyszki są to kolebeczki, w których sosny piastują swe dzieci, w każdej łusce mieści się malutka sosenka. Dziecinę te mają skrzydełka i jak



tylko troszeczkę podrosną, zaraz dobywają się z kolebeczki, żegnają swoją mamę i lecą w świat Boży za powiewem wiatru. Gdy skrzydlate nasionko padnie na ziemię, zaraz się w niej zagrzebuje i później wychodzi z ziemi malutka sosenka. Wszystkie sosny w borze tym sposobem wyrosły.

Sędziwa sosna szczęśliwe dni pędziła w gronie ukochanej dziatwy, a miała szczególne przywiązanie do jednej młodej sosenki, która tuż przy niej rosła i miała już z trzy stopy wysokości. Mateczka patrzyła na nią z wielką czułością i cieszyła się każdą nową gałązką, która na jej ramionach wyrastała.

Latem osłaniała córeczkę od palących promieni słońca, zimą zatrzymywała śnieg na swych barkach, ażeby nie przyniółł wiatrej młodej sosenki. Opowiadała jej ładne bajeczki o tym, co wrony gadają, gdy obsiadą szczyty sosen, o małym wilczku, który nie słuchał matki i zabłądził w lesie, o starym niedźwiedziu, co sobie nogę złamał wpadając w jamę. Sosenka była ciekawa jak wszystkie dzieci, co chwila o coś pytała.



— Mateczko — mówiła dnia jednego — co się stało z moją starszą siostrą, którą to cieśle zrąbali zeszłej zimy?

— Nie wiem — odpowiedziała matka — miała pień bardzo piękny i prosty, musieli z niej zrobić słup lub belkę do jakiej budowli.

— A z gałązkami co zrobili? — pytała znów sosenka.

— Musieli z nich porobić kije do mioteł i do różnych narzędzi rolniczych.

— A czy ze mnie będzie także słup i kije do mioteł? — mówiła sosenka.

— Nie wiem, jak długo pożyjesz — odpowiedziała staruszka. — Jeżeli zginiysz młodo, wyjdiesz może na tykę do podpierania fasoli albo na kołek w płocie.

Sosenka umilkła. Rozmyślała o tym wszystkim, co matka mówiła. Wolałaby była wyrósć na piękną belkę, a nie miała najmniejszej ochoty zostać tyką lub kołkiem w płocie.

Dnia pewnego, w grudniu, cieśla przechodził tamtędy i zatrzymał się koło starej sosny.

— O, co za piękne drzewo! — zawo-



łał. — Ale widzę tu małą sosenkę, taką właśnie, jakiej mi potrzeba. Państwo kazali przywieźć z lasu ładną choinkę na Boże Narodzenie; ładniejszej już chyba nie znajdę w całym borze. Ale nie będę jej ścinał, wolę ją wyjąć z korzeniem. Państwo będą mogli potem młode drzewko zasadzić na murawie przed domem.

I mówiąc to cieśla zabrał się zaraz do roboty. Wykopał sosenkę motyką, obciął jej przy tym niechcący parę drobniejszych korzonków, wyjął ją z ziemi i położył na wozie. Wszystko to stało się tak szybko, że nasza sosenka nie miała nawet czasu pożegnać się z mateczką. Tak ją mocno zabolalo w korzonkach, że straciła przytomność.

Gdy przyszła znów do siebie, ujrzała się w obcym miejscu, w pokoju; korzenie jej zasadzone były w dużym kubie, napełnionym ziemią, jakaś pani ją podlewała i woda orzeźwiła zupełnie naszą sosenkę. Weszło jeszcze parę innych pań do pokoju i zaczęły uwiązywać na gałązkach sosenki ładne małe świeczki.

Szczególna rzecz! — pomyślała sobie— mateczka mówiła, że jak urosnę, będę



miała szyszki na gałązkach, nigdy nie wspominała o świeczkach.

Ale jakież było jej zdziwienie, gdy do świeczek przybyło mnóstwo innych rzeczy: jabłuszka rumiane, złożone orzechy, cukierki, wreszcie różne zabawki, a między innymi duży pajac, który tak okropnie się skrzywił, że sosenka cała się wstrząsała ze strachu.

Wieczorem zapalono wszystkie świeczki, gromadka dziatwy wtargnęła do pokoju i napełniła go wesołymi głosami płasząc około ładnej choinki.

Młoda sosenka dumna była bardzo ze swojego stroju i żałowała, że nie może się pokazać siostrzyczkom w borze w całej tej paradzie.

— Tożby dopiero się dziwiły — myślała sobie — a mateczka jakby się ucieszyła, gdyby mogła widzieć, jak ja prześlicznie teraz wyglądam! Troszkę mnie jeszcze korzonki boją, ale to pewnie przejdzie i bardzo mi tu będzie wygodnie. Tylko nie wiem, dlaczego te świeczki ciągle się zmniejszają... Oho, jedna już zgasła. Ktoś zerwał mi jabłuszko z gałązki, a teraz orzech, cukierek...



Te dzieci zabierają mi wszystkie ładne rzeczy. A tu i świecek gasną jedna po drugiej. Otóż masz! ogołocili mnie ze wszystkich strojów, poszli sobie i ciemno się zrobiło. Zostały mi już tylko moje własne igielki zielone. I otóż księżyc zagląda w okienko. Powiedz mi, księżycu, czy jutro znowu mnie tak ładnie ubiorą?

Księżyc nic nie odpowiedział, tylko bladym promyczkiem musnął sosenkę, która wkrótce usnęła. Dzień po dniu mijał, a nasze drzewko rosło zdrowo w dużym kuble stojąc zawsze w pokoju przy drzwiach od ogrodu. Co rok na Boże Narodzenie ubierano ją prześlicznie w świecek, w orzeszki złoczone, aż w lat kilka sosenka podrosła znacznie i zaczęła mizernieć, bo jej korzonki nie mogły się pomieścić w kubelku. Ogrodnik to zrozumiał, wyjął drzewko i zasadził je na murawie przed domkiem.

Tu zaczęła wyrastać i sił nabierać, starając się naśladować we wszystkim dobrą swoją mateczkę.

A tymczasem sędziwa sosna-mateczka zmartwiła się bardzo, gdy jej zabrano ulubioną córeczkę i zaczęła na zdrowiu



zapadać. Straciła apetyt, igielki jej coraz więcej żółkły i opadały na ziemię, siły ją tak opuściły, że pewnej nocy, gdy się rozszalała burza, wicher wyrwał ją z korzeniem i obalił.

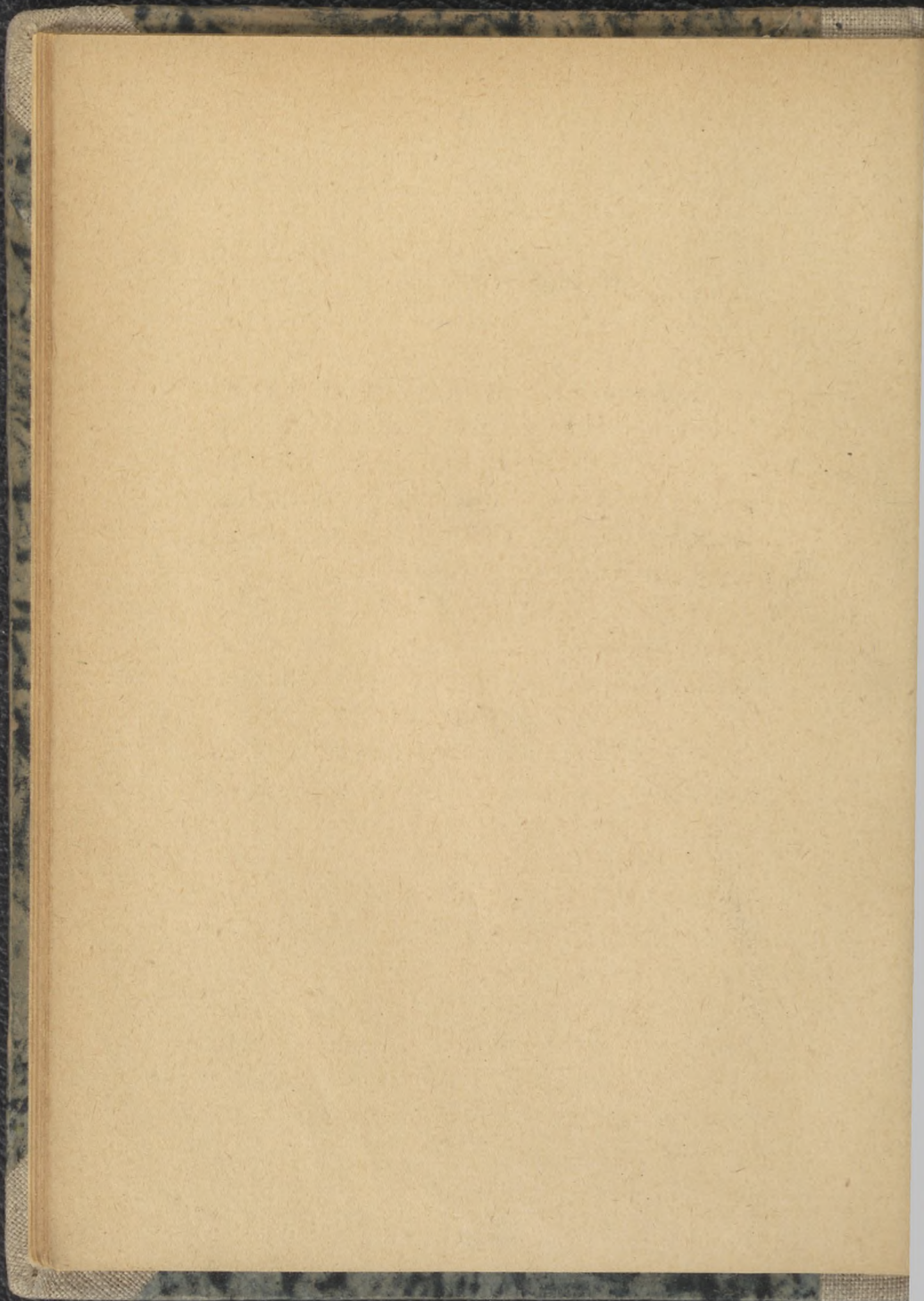
Przyszli cieśle, obcięli gałęzie starej sosny, włożyli ją na wóz i powieźli do wsi. Wszystkie sosny w borze oplakiwały zgon sędziwej swojej mateczki, po pniach i gałęziach spływały duże krople żywicy, łez sosnowych.

Stara sosna przewieziona została do tartaku, gdzie pień jej porznięto na piękne deski. Kupił je potem stolarz, pracowity rzemieślnik, który przez cały dzień nie wypuszczał z rąk hebla i piły.

Narobił też z desek sosnowych mnóstwo różnych sprzętów, stolików, łóżek, szaf, skrzynek itd.

Taki był koniec sędziwej sosny.







## WRÓBELKI

### I

Zimno bardzo na dworze, wiatr marcowy dmucha, dwa wróbelki siedzą na dachu z nastroszonymi piórkami. Biedne ptaszyny drżą całe, łapki mają zdrętwiałe, spoglądają na siebie żałośnie, jakby chciały powiedzieć:

— Bieda! bieda! kiedy my się tej wiosny doczekamy?

I zaglądną do okien, czy nie rzuci tam kto ziarenek albo okruszynek chleba.

Oho! widać za szybą główkę małej dziewczynki, okno się otwiera i słychać miły głosik, wołający:

— Tu, tu, tu, ptaszynny!

Wróbelki zaświegotały wesoło, oczka ich radością zabłyśły, zatrzepotały skrzydełkami i pofrunęły do okienka. Bogu dzięki, mają śniadanie. Parę innych wróbelków z sąsiedztwa pośpieszyło także na tę ucztę, grzeczna dziewczynka rzuciła dużo okruszyn z okna i wszystkie się pożywiły.



— Pi, pi, pi, pi — zaświegotały wróbelki odlatując — dziękujemy grzeczniej panience, że o nas pamiętała, ślicznie dziękujemy.

Dwa wróbelki, te co najpierwsze spostrzegły dziewczynkę w oknie, powróciły na dach, a potem schroniły się w swoim gniazdku, bo zimny wiatr bardzo im dokuczał.

Gniazdko to było urządzone pod strzechą, wygodnie i zacisznie, ptaszęta zziębnięte przytuliły się jedno do drugiego, ażeby się rozgrzać choć troszeczkę.

Wicher wieje coraz gwałtowniej, podnosi kłęby kurzawy w powietrze, porywa dym z komina i unosi go w szalonym wirze; ludzie, którzy przechodzą ulicą, otulają się starannie w ciepłe okrycia.

— Cóż to za straszna zawierucha — mówi wróbelek samiec wystawiając ostrożnie główkę ze swej kryjówki i spoglądając na świat Boży — cały dom się trzęsie, jak gdyby się miał zawalić.

W tej chwili kawał komina odrywa się z łoskotem, spada na brzeg strzechy i strąca z niej parę snopków, tych właśnie, które przykrywały gniazdeczko. Wróbel-



ki z wielkiego przestachu zamykają oczęta, siedzą cichuteńko i nie śmieją się poruszyć; po chwili samiec odważniejszy spogląda w górę i widzi nad sobą szare, ołowiane niebo. Nie ma już dachu nad gniazdeczkiem, wichura go zerwała! Wróbelek otrząsa skrzydełka, prostuje łapki, dziękuje Bogu, że nie zginął w tej strasznej klęsce.

— Rusz-no się, kochanko — mówi do swojej żoneczki — nie mamy tu już dachu nad głową, trzeba iść dalej w świat. Czy nic ci się nie stało?

— Nie, nie, zdrowa jestem i cała — odpowiada wróbliczka wysuwając się z kącika i przeciągając skrzydełka.

— A więc ruszajmy dalej—mówi wróbelek — jest tu niedaleko kącik wyborny, gdzie nam będzie bardzo wygodnie. Leć za mną.

I pofrunęli oboje w sąsiednią ulicę, a wróbelek zatrzymał się przy okienku niewielkiego, ładnego domku.

— Czy widzisz — rzekł do swojej samiczki — jakie tu jest porządne gniazdeczko? To jaskółki je pobudowały, pomieścimy się w nim doskonale.



— Co też tobie w głowie — odrzeczę wróbliczka — a cóż na to jaskółeczki powiedzą, jak powrócą z zamorskiej swojej podróży? Pewnie się na nas pogniwają.

— Ej, co tam, nim one wróca, my sobie inne gniazdeczko zbudujemy — odpowiada wróbelek — ale teraz takie okropne zimno, że mi się nie chce brać do roboty, cały jestem skostniały. Chodź, chodź, żoneczko, ogrzejemy się i odpoczniemy.

I mówiąc to wskoczył do gniazdka, a samiczka wsunęła się za nim.

— Co też to znaczy — rzekła — że tu takie pustki w tym gniazdeczku? Jaskółki przecież zwykle urządzą sobie miękką pościółkę. Musisz, kochanie, pofrunąć jeszcze do naszego dawnego mieszkania i przynieść tu wszystkie ździebełka słomy i sianka, któreśmy tam sobie nagromadzili; będzie nam cieplej i wygodniej. A nie zapomnij zabrać tego czerwonego strzępka wełnianego, co tam leży w kąci, na prawo, i tych kłaczek z kociej sierści, co tośmy je na poddaszu znaleźli.

Wróbel odleciał prędyutko, a wró-



bliczka zaczęła porządkować w nowym swoim mieszkaniu.

— Te jaskółeczki są naprawdę bardzo dowcipne — mówiła sama do siebie — jak to one zręcznie to gniazdko ulepiły z ziemi i przytwierdziły je tak mocno do ściany! Ja bym swoim grubym dzióbkiem nie potrafiła nigdy tego dokazać. Nie rozumiem jednak, po co to sobie tyle trudu zadawać. Niby to pisklęta nie chowają się równie pięknie i zdrowo w zwyczajnym gniazdku, choćby w szczelinie muru? Ale co tam mój mężulek tak długo porabia? Czemu nie wraca? A, przecież leci już nieboraczek i niesie coś w dzióbku — kawałeczek papieru! Szkoda było zachodu, na nic mi się to nie przyda.

— Przepraszam ciebie, duszko, że tak długo się zabawił — rzekł wróbelek wskakując do gniazdka — ale zaraz ci opowiem, co mi się wydarzyło. Pofrunąłem tą stroną, gdzie jest gniazdko naszej siostrzyczki, i usłyszałem przelatując tuż obok, jak się sprzeczała ze swoim mężulkiem:

— Masz się czym tak pysznić — mówiła do niego — czy to znów takie bardzo



ładne te twoje piórka, do starego zarzewiałego żelastwa podobne? Żebyś jeszcze nie miał czarnych prążków na grzbiecie, tobyś był daleko brzydszy ode mnie.

— A tobie się zdaje, że już nie ma nic ładniejszego od ciebie, dlatego że masz takie same czarne prążki jak i ja — odrzekł szwagierek zaperzony — ale za to twoje piórka jaśniejsze są od moich, a więc brzydsze. Co to wiele gadać, każdy wie, że wróbelki samcy daleko są piękniejsi od samiczek. Nudzisz mnie już na koniec tą swoją śmieszłą próżnością. Czy masz czarny gardziołek? Odpowiadaj!

— No, nie mam.

— A masz biały paseczek na skrzydełkach?

— Nie mam.

— A widzisz, nie przechwalaj że się swoimi wdziękami.

Siostrzyczka nic już nie powiedziała, ale się nadała okropnie i wyskoczyła z gniazdka, a gdy ujrzała mię siedzącego na dachu, zaczęła przede mną skargi rozwodzić. Perswadowałem jej, jak mogłem,



i na koniec przekonałem ją, że szwagierek miał słuszość. My doprawdy ładniejsi jesteśmy od was, moje panie. Muszę jednak przyznać, że i wy macie jedną śliczną ozdobę, ten żółty pasek na czołku. Ale zresztą musicie nam ustąpić pierwszeństwa.

Odprowadziłem siostrunię do gniazdka i pogodziłem ich jakoś ze szwagierkiem. Pofrunąłem potem do dawnego mieszkania, ale, niestety! Nie zastałem już ani sianka, ani wełny; wichura wszystko zabrała. Znalazłem tylko ten kawałek papieru, ale to się na nic podobno nie przyda. Musimy jednak dziś na tym poprzestać, bo strasznie jestem zmęczony. Jutro postaram się o lepszą pościółkę, a teraz prześpię się trochę.

I mówiąc to wróbelek przytulił się w kąciку, wróbliczka poszła za jego przykładem i oboje wkrótce usnęli.

Zawierucha uspokoiła się nazajutrz i dni następnych znośniejsza już była pora. Wróbelki jako tako przebyły marzec; codziennie fruwały do okienka, gdzie dobra dziewczynka sypała jedzenie dla ptasząt, w cieplejsze dni skakały sobie



na dachu i nawet odlatywały dla rozprostowania skrzydełek.

Często świegotały wesoło, zbierały się w liczniejsze gromadki z innymi wróbelkami z sąsiedztwa, rozmawiały zapewne o tym, że już niedługo zimna przeminą, nadejdzie wiosna i ciepło, a ptaszętom lepiej będzie na świecie.

## II

Już miesiąc marzec się kończy, wiatr zimny jeszcze dmucha często, ale słoneczko coraz więcej przygrzewa. Para wróbelków rozgospodarowała się na dobre w gniazdku jaskółek. Teraz, gdy już troszkę pocieplało, i samiec i samiczka w ciągłym są ruchu, co chwila to jedno, to drugie wylatuje z gniazdeczka, szuka, szpera po płotach, po gałęziach drzew i powraca niosąc w dzióbku ździebełko mchu, strzępek wełny, niteczkę lub piórko.

— Bądź spokojna, zoneczko — mówi samiec — już teraz nasze dzieciны będą tu miały wszelką wygodę, usłaliśmy im taką mięciuchną pościóleczkę. Żebyż to prędzej obaczyć ten drobiazg kochany,



te śliczne żółte dzióbki! Chciałbym już słyszeć, jak to one zaczną szczebiotać: Tatko! tatko! Ale teraz odpoczniemy trochę, bośmy się dobrze napracowali.

Już ranek, dzień biały. Wróbliczka siedzi w gniazdeczku, a wróbel podskakuje wesoło na gzymsie w pobliżu, zagląda do gniazdzka i woła:

— Pokaż-no, pokaż jeszcze raz, jak ono tam wygląda?

Wróbliczka podnosi się ostrożnie i odkrywa na chwilkę małe jajeczko brunatno nakrapiane, które zniosła w nocy.

— Jakie śliczne! — woła samiec — siadaj, siadaj prędziutko, żeby się nie oziębiło.

I wróbelek uradowany odlatuje na dach i świegoce wniebogłoso:

— Pi, pi, pi, pi, jajko mam! pi, pi, pi, wam nie dam!

Wszystkie wróbelki z sąsiedztwa zleciały się i winszowały szczęśliwemu ojczulkowi, i życzyły mu pociechy z pisklątek.

Nazajutrz samiczka zniosła drugie jajko, a wróbelek z wielkiej radości wyle-



ciał na najwyższy komin i krzyczał na całe gardło:

— Pi, pi, pi, pi, pi, dwa jajeczka mam, nikomu nie dam!

Przy końcu tygodnia mama wróbliczka miała aż cztery jajka i siedziała na nich przez cały tydzień; czasem tylko na chwileczkę odlatywała, gdy jej głód dokuczył. Pocziwy wróbelek rzadko kiedy oddalał się od gniazdka, zabawiał swoją żoneczkę, żeby się nie nudziła, przyspiewywał jej, opowiadał o wszystkim, co się działo w okolicy. Pewnego dnia z rana wróbliczka zawołała na niego:

— Chodź-no, posłuchaj! coś mi się zdaje, że w jednym jajku słychać szelest; może to nasze pisklątko stuka dzióbkiem w skorupkę, może chce się już wydobyć na świat Boży?

I odkryła troszeczkę jajko, aż tu skorupka pęka, mateczka rozbiła ją do reszty i wnet ukazał się malutki dzióbek, potem główeczka i zabawne pisklątko z zamkniętymi oczkami, bez piórek, wysunęło się z jajka.

— Ach! żoneczko — mówi wróbelek zafrasowany — co to znaczy, że to bie-



dactwo oczek nie może otworzyć i czemu ono piórek nie ma.

— Czyżby to nasze pisklątko miało być kaleką?! — rzekła samiczka ze smutkiem. — Leć, proszę ciebie, mężulku, po babunię, ona tak jest doświadczo-  
na, może nam co poradzi.

Wróbelek pofrunął przedziutko i wkrótce powrócił ze staruszką.

— Pokażcie mi tego malca — rzekła babunia wróbliczka. — Co też wam w głowie, moje dzieci, pisklątko jest zupełnie zdrowe i wyrośnie na pysznego ptaka. Wszystkie wróbelki tak wyglądają, gdy na świat przychodzą. Czekajcie cierpliwie, a nasze maleństwo otworzy oczy i piórka mu zaczną wyrastać. Pilnujcie tylko, żeby nie były głodne, to rzecz najważniejsza.

Upłynęło dni kilka. Wszystkie pisklęta wydobyły się z jajek, zaczynają już porastać w piórka, otwierają oczka, a od rana do wieczora krzyczą jedno przed drugim:

— Jeść! jeść! jeść!

Mateczka leci szukać pokarmu, bo dziatwa nie powinna być głodna. Małe



wróbelki wyglądają niecierpliwie jej powrotu, a gdy ją spostrzegą z lizką w dzióbku, wszystkie wyciągają łebki, potracają się, włożą na krawędź gniazda i krzyczą:

— Mnie! mnie! mnie!

I rozdziawiają dzióbki żółte patrząc chciwie na pokarm, ale mateczka nie może wszystkich obdzielić od razu, więc jedno dostaje lizkę i połknąwszy ją zamyka oczka jakby do snu, po chwili jednak krzyczy wraz z innymi i, gdy mateczka nową zdobycz przyniesie, wszystkie piskłeta rozdziawiają dzióbki, a rodzice muszą dobrze uważać, żeby każde nakarmić z kolei. I samiec i samiczka mają teraz robotę: niemało liszek muszą nachwycić przez dzień, ażeby nasycić małych żarłoków. Wieczorem dopiero, gdy drobiazg uśnie w gniazdku, i oni mogą odpocząć trochę. Cieszą się, że dziatwa tak zdrowo rośnie, nie robią pomiędzy piskletami żadnej różnicy, zarówno kochają trzech tęgich synków, jak malutką córeczkę, Jasnotkę, tak nazywaną dlatego, że słoneczko jasno świeciło, gdy ona wychodziła z jajka.



Dnia pewnego oboje rodzice dłużej niż zwykle zabawili na wycieczce, upolowali parę pysznych owadów i przynieśli dzieciom, ale mocno się zdziwili zastając głęboką ciszę w gniazdku.

Pisklęta siedziały przytulone jedno do drugiego, były przestraszone i drżące. Dopiero na widok rodziców mała Jasnotka podniosła łebek wołając:

— Tatko! tatko! żebyś wiedział, co tu się stało! Jakieś dwa ptaki, wcale do nas niepodobne, zagłędały do gniazdko i okropnie się czegoś gniewały; tak nas przestraszyły!

— Ach, to pewnie jaskółki — rzekł wróbelek zmieszany. — A czy nie mogłybyście mi opowiedzieć, moje dzieci, jak te ptaki wyglądały?

— Grzbiet miały ciemno-granatowy — mówiła Jasnotka.

— A brzusek biały — rzekł jeden z braciszków.

— Gardziołek jasno-brunatny — dodał inny.

— To one! to one! — odrzekł ojciec. — Mój Boże, co my teraz pocniemy! Wy jeszcze latać nie umiecie, nie podobna się



przenosić. Nie spodziewałem się, ażeby jaskółki tak wczesnie powróciły z wędrówki, toż to dopiero początek kwietnia.

— Darmo się tylko niepokoisz — mówiła mateczka — jaskółki są bardzo dobre i grzeczne, one przecież także dzieci hodują i widzą, co to znaczy. Pewna jestem, że pozwolą nam zamieszkać jeszcze jakiś czas w swoim gniazdeczku.

— Bardzo wątpię — rzekł ojciec — w każdym razie muszę tu zostać i rozmówić się z nimi, gdyby nadleciały, a ty już sama śpiesz po jedzenie dla dzieci. Widziałem mnóstwo liszek na tej jabłoni, co tam stoi obok kościółka, wszak znasz ją dobrze.

Mateczka odleciała, a ojczulek usiadł w gniazdeczku obok dzieci, nastroszył piórka i czekał odważnie na jaskółki.

Wkrótce dał się słyszeć szelest i para jaskółek usiadła na gzymsie tuż obok gniazdzka.

— Dobrze, żeśmy zastali jegomościa — rzekł samiec do wróbelka — mamy ze sobą do pomówienia. Słyszałem ja nieraz od znajomych, że wróble przywłaszczą-



ją sobie gniazda jaskółek, ale nie chciałem temu wierzyć, bo miałem je za uczciwe ptaszki. Tymczasem jegomość wparowałaś się bez pozwolenia do naszego mieszkania w czasie nieobecności naszej, a ponieważ nie mamy ochoty budować nowego gniazda bez żadnej potrzeby, więc proszę mi się zaraz wynosić.

— Chętnie bym to uczynił — rzekł wróbelek pokornie — wyznaję, że nieprawnie wprowadziłem się do tego gniazda, ale byłem w bardzo smutnym położeniu, wichur zniszczył moje mieszkanie i sądziłem, że państwo dłużej zabawią za granicą. Nie wiem sam, co pocznę teraz, bo biedna moja dziatwa nie umie jeszcze latać.

— Wiesz co, mężulku — odezwała się jaskółka samiczka rozrzewniona widokiem piskląt skulonych na dnie gniazdu — my możemy jeszcze kilka dni poczekać, nie ma nic tak nagłego.

Potem zaczęli oboje mówić między sobą jakimś obcym językiem, pewnie po afrykańsku, bo jaskółki w Afryce zimują. Wróbelek tego nie rozumiał, ale domyślił się, że samiczka złagodziła samca,



a gdy jaskółki odleciały, zaświegotał radośnie.

Piskłeta popodnosiły łebki, Jasnotka otworzyła oczka, które zamknęła była z przestachu, a gdy mateczka powróciła z liską w dzióbku, wszyscy czworo zaczęli krzyżeć w niebogłosy rozdzwiając dzióbki.

### III

Jeszcze jest bardzo rano, niedawno słońce wzeszło, małe wróbelki śpią w najlepsze; ale oboje rodzice już się przebudzili i rozmawiają o jakichś ważnych sprawach.

— Upewniam cię, moja kochana — mówi ojczulek wróbel — że one mogą już bezpiecznie rozpocząć naukę fruwanania.

— Dajże pokój, zmiłuj się — odrzeczce mama wróbelczka — ja ci mówię, że jeszcze za wcześnie; one biedactwa takie słabe mają skrzydełka. Jasnotka pierwsza upadnie zaraz na podwórze i koty ją pożrą. Proszę cię, poczekaj choć dwa dni jeszcze.

— Nie, nie, nie — powtarza ojczulek —



rzecz skończona, dziś musi się odbyć pierwsza próba. Trzeba się koniecznie wynieść z tego gniazda, nie chcę dłużej nadużywać uprzejmości tych dobrych jaskółek.

Pisklęta przebudziły się w czasie tej rozmowy rodziców, oczka im błyszczą z radości, bo małe wróbelki zazwyczaj, nim jeszcze w piórka porosną, już niecierpliwie wyglądają chwili, gdy będą mogły skrzydełka rozwinąć do lotu.

Najstarszy wróbelek wyrywa się z gniazdka, siada na brzegu... i zaczyna się trząść cały, spogląda w dół, w podwórze, ach! jak tam okropnie głęboko! Biedny ptaszek przestrasza się, piszczy żałośnie, mama wróbliczka piszczy jeszcze głośnie, bo obawia się o malca, reszta piskląt dopomaga, wszyscy krzyczą przerażliwie.

— Nic, to nic — uspokaja ojczulek — śmiało, synku, nie bój się, patrz w górę. Trzymaj się mocno na skraju gniazdeczka: trzy paluszki naprzód, a jeden w tył; o tak, dobrze. A teraz leć za mną na dach zwawo. Patrz na mnie i rób to samo, co ja.



I wróbel ojczulek wyciągnął szyję, a malec tak samo swoją wydłuża, ojczulek rozwija skrzydełka, malec rozwija swoje, ojczulek leci... ale malec nie rusza się z miejsca.

Tatko się gniewa, powraca do gniazdka, wpycha do środka małego tchórza i woła na innego. Ale wszyscy trzej braciszki tak są bojaźliwi, że siedzą jak niepyszni na skraju gniazdka i nie chcą pofrunąć, jedna tylko Jasnotka zrywa się odważnie, podlatuje aż na dach.

Nazajutrz i dni następnych nauka poszła lepiej, wróbelki były coraz śmielsze, latały na dach, na komin, a w tydzień puszczały się już na dalsze wycieczki z rodzicami. Wówczas ojczulek wróbelek zapowiedział, że się przeniosą na wieś, na letnie mieszkanie, żeby dzieci nabrały sił i zdrowia.

W niedzielę rano cała rodzina poleciała podziękować grzecznym jaskółczkom za gościnność i dać znać, że gniazdko już opróżnione, potem wszyscy wybrali się w drogę. Przybyli wkrótce do pobliskiej wioski; ojczulek wróbel zatrzymał się na dachu kościółka, skąd śli-



czny widok roztaczał się na całą okolicę.

— Patrzcie — mówił tatko — te łany zbożem okryte, te ogrody, sady pełne drzew owocowych, wszystko to nasze. Znajdziemy tam mnóstwo wybornych ziarenek, owoców, owadów bez liku. Strzeżcie się tylko jastrzębia, moje dzieci, bo ten drapieżnik pożera wróbelki. Unikajcie także spotkania z wieśniakami, bo oni nie lubią ptaszków naszego rodu.

— Doprawdy? — rzekła Jasnotka — a dlaczego?

— Ba! dlaczego — mówił ojciec — bo im zjadamy trochę ziarenek i wisienek; zapominają, że gdyby ptaszęta nie wyniszczały liszek, to one by pożarły liście na drzewach i owoce by nie obrodziły. Ale co ja widzę! oto tam w podwórku gospodyni posypała jeść kurom. Lećmy tam, dzieci, bo wam się już pewnie jeść chce. Kury są bardzo uprzejme, nie pożałują nam troszkę swego ziarna.

I cała rodzina pofrunęła w tę stronę.

Pobył na wsi bardzo posłużył wróbelkom. Znajomi z miasta odwiedzali je pa-

rę razy i opowiadali, że pisklęta wyrosły i wypasły się znakomicie. Mateczka siedziała już znowu na jajkach, a ojczonek zapewniał, że im się doskonale powodziło w okolicy, bo mieli tam pod dostatkiem jedzenia, obfitość rozmaitego zboża i najwyborniejsze gatunki smakowitych owadów. Kilkanaście wróbelków, usłyszawszy o tym, wybrało się na letnie mieszkanie do tej samej wioski. Ale gdy powiał zimny wiatr jesienny, wszystkie znów powróciły do miasta, bo tam jest dużo dobrych dzieci, co pamiętają o głodnych ptaszętach.



## WISIENKA

Piękna, rozłożysta wiśnia jest moją mateczką.

Pewna jestem, że w całym sadzie nie ma wspanialszego drzewa.

Z grubego pnia wychodzą trzy duże konary i wznoszą się ku niebu; wyrasta z nich mnóstwo mniejszych gałęzi pokrytych zielonymi listeczkami, na gałęzkach siadają ptaszki i ślicznie świegocą.

Ja jestem córeczką tej pięknej wiśni, wisienką malutką, i siedzę na najwyższej gałęzce. Nie jestem jeszcze zupełnie dojrzała, jeden policzek mam rumiany, a drugi zupełnie blady.

Chciałabym już jak najprędzej być ładna i różowa, przez cały dzień patrzę na słońce, bo domyślam się, że to ono mi daje tę śliczną barwę purpurową. Ale duży liść, mój sąsiad, zasłania mi słońce z jednej strony i promienie nie mogą się dostać do prawego mego policzka. Nie mam ja o to żalu do tego listeczka, zdaje mi się jednak, że mógłby być grzeczniej-



szy dla mnie i usunąć się troszeczkę na bok. Prosiłam go o to kilka razy, ale powiada, że żadnym sposobem nie może się inaczej obrócić, bo mu tak najwygodniej.

Nie wiem, czy jest na świecie lepsza mateczka od mojej. Jak ona troskliwie pielęgnowała wszystkie swoje córeczki!

Pierwsze dni mego życia spędziłam w cudnej kolebeczce. Żadna dziecina, żadna ptaszyna nie może mieć piękniejszej.

Pościółka w niej była biała, cieniuteńka, mięciuteńka, kołderka bladozielona. Ta śliczna kolebeczka, to był kwiat wiśniowy. Byłam wówczas jeszcze bardzo malutka, mniejsza niż główka od szpilki, a taka wążła, że najłżejszy wietrzyk mi szkodził. Mateczka wiedziała dobrze, jakie to noce na wiosnę są chłodne i każdą córeczkę ułożyła w takim kwiateczku i otuliła starannie. Cóż to za milutka była kolebeczka! Nigdy nie zapomnę, jak mi tam było wygodnie. Teraz jej nie ma, odpadła, ale ja się już mogę obejść bez niej, bo jestem duża i silna.

Bardzo bym chciała wyjść na ładną i smaczną wisienkę, bo obiecałam zna-



jomemu wróbelkowi, że mu pozwolę podziobać się troszeczkę jak dojrzeję. Ten wróbelek wielką mi przysługę wyświadczył tej wiosny. Żeby nie on, byłabym pewnie zachorowała, a może i zginęła. Straszny robak byłby mi wygryzł serce. Takie nieszczęście przytrafiło się niejednej mojej siostrzyczce.

Było to raniutko: przebudziłam się i spostrzegłam jakąś główkę, wspartą na brzegu mojej kolebeczki. Przelekłam się niezmiernie, a cóż dopiero, gdy straszny zwierz wpakował się cały do mojej pościółki.

Była to liszka! Byłaby mnie pożarła niezawodnie. Błagałam ją, żeby sobie poszła, ale nie chciała mnie słuchać; musiała być bardzo głodna. Aż tu niespodziewanie wróbelek usiadł na mojej gałązce.

— O, proszę, mój dobry wróbelku — powiedziałam do niego — ratuj mnie, zabierz tę liszkę, bo zginę.

— Z największą chęcią — odrzekł uprzejmie i pochwycił ją zręcznie w dziobek — właśnie szukałem liszki na śniadanie dla mojej dziatwy.



Grzeczny ten wróbelek codziennie od tej pory przylatywał do mnie w odwiedziny. Jak tylko jaka liszka chciała mnie ukąsić, on ją zaraz chwycił i pożerał. Bardzo go za to pokochałam i chciałam mu się czymś odwdziaczyć.

— Czy lubisz wisienki, mój miły wróbelku? — zapytałam.

— O, bardzo lubię — odpowiedział.

— Kiedy tak — rzekłam wówczas — to przylećże do mnie, jak będę zupełnie dojrzała; uratowałeś mi życie, nigdy tego nie zapomnę i chcę, żebyś mnie troszkę podziobał, jak będę już rumiana i smaczna.

Wróbelek ucieszył się bardzo i ślicznie mi podziękował.

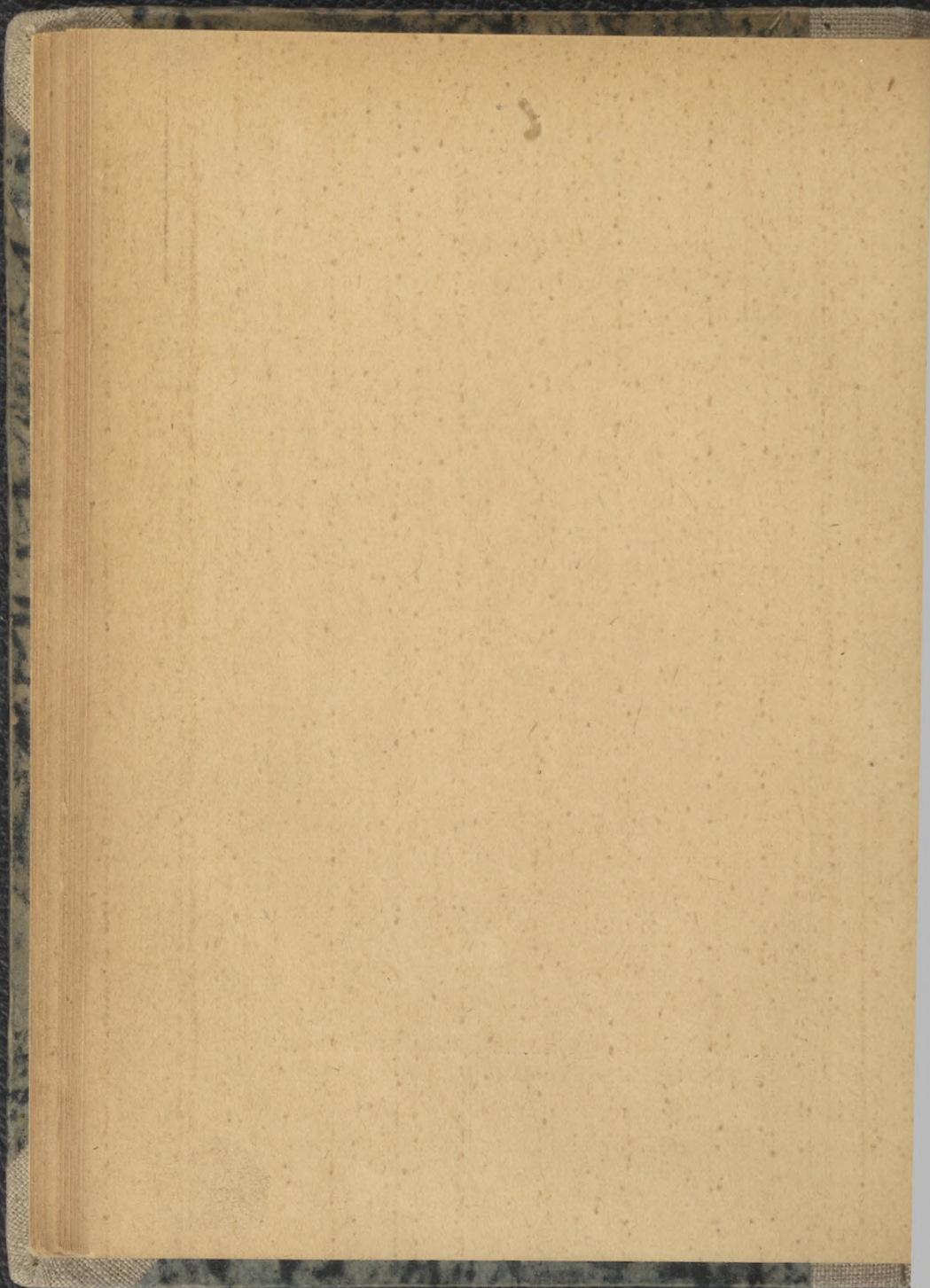
Ach, gdyby nie ten nieznośny listek, myślałam sobie, już bym pewnie była prześliczna, rumiana. Nic mu jednak nie mówiłam, bo czegoś pobladł bardzo, musiał być chory. Pewnego rana przebudziłam się i uczułam, że mi cieplej daleko niż zwykle, spojrzałam dokoła, nie było już przy mnie tego liścia, co mi promienie słoneczne zasłaniał; zwiądł zupełnie w nocy i opadł. Litowałam się nad





...ratuj mnie, zabierz tę liszkę, bo zginę.





biednym listeczkiem, ale go żałować nie mogłam, bo mi bardzo zawadzał za życia.

Zapomniałam opowiedzieć o korzeniach mojej mateczki. Ma ona ich mnóstwo, jedne są duże, grube, a inne cieniutkie, malutkie. Dziwnie to musi wyglądać, ale ja tego nigdy nie zobaczę, bo wszystkie te korzenie ukryte są pod ziemią. Zdaje mi się, że mateczka żywi się tymi korzeniami.

Nie wiem na pewno, co ona ma tam do jedzenia pod ziemią, powiadają, że pije wodę deszczową, a w tej wodzie rozpuszczają się różne minerały, które grunt w sobie zawiera. Ale musi tam mateczka znajdować pokarm obfity, bo jakżeby inaczej żyć mogła? Tej wiosny pewnie sobie porządnie podjadała, skoro w przeciągu jednego tygodnia pokryła się cała liśćmi i kwiatami. Prawda, że za to całą zimę wycoczywała.

Minęło dwa tygodnie od rozmowy mojej z wróbelkiem, przez ten czas zarumieniłam się ślicznie i wszystkie moje siostrzyczki dojrzały także. Przyszedł ogrodnik, przystawił dużą drabinę do wiśni, mojej mateczki, i zaczął zrywać



wisienki. Napełnił nimi dwa duże kosze, a niektóre brał do ust i połykał. Patrzyłam na to z przerażeniem i ubolewałam nad smutnym losem moich siostrzyczek.

O siebie jednak byłam spokojna, siedziałam tak wysoko na malutkiej gałązce, że chyba ptaszek mógł mnie tam dojrzeć. Nie żałowałam wcale obietnicy danej wróbelkowi, szczerze postanowiłam jej dotrzymać, ale miałam wielką ochotę do życia, dzień i noc myślałam o tym, jakby się od śmierci uchronić.

— Mój drogi przyjacielu — rzekłam raz do wróbelka — czuję, że już jestem zupełnie dojrzała i jeśli masz ochotę mnie zjeść, to się nie będę broniła, ani wymawiała. Ale mam do ciebie, wróbelku, wielką prośbę. Smutno by mi było zginąć i nic po sobie nie zostawić. Ty z pewnością nie będziesz jadł twardej mojej pestki, a ja wiem, że ona ma w sobie coś takiego, co odżyć może. Proszę cię, weź tę pestkę i posadź ją tu w ogrodzie.

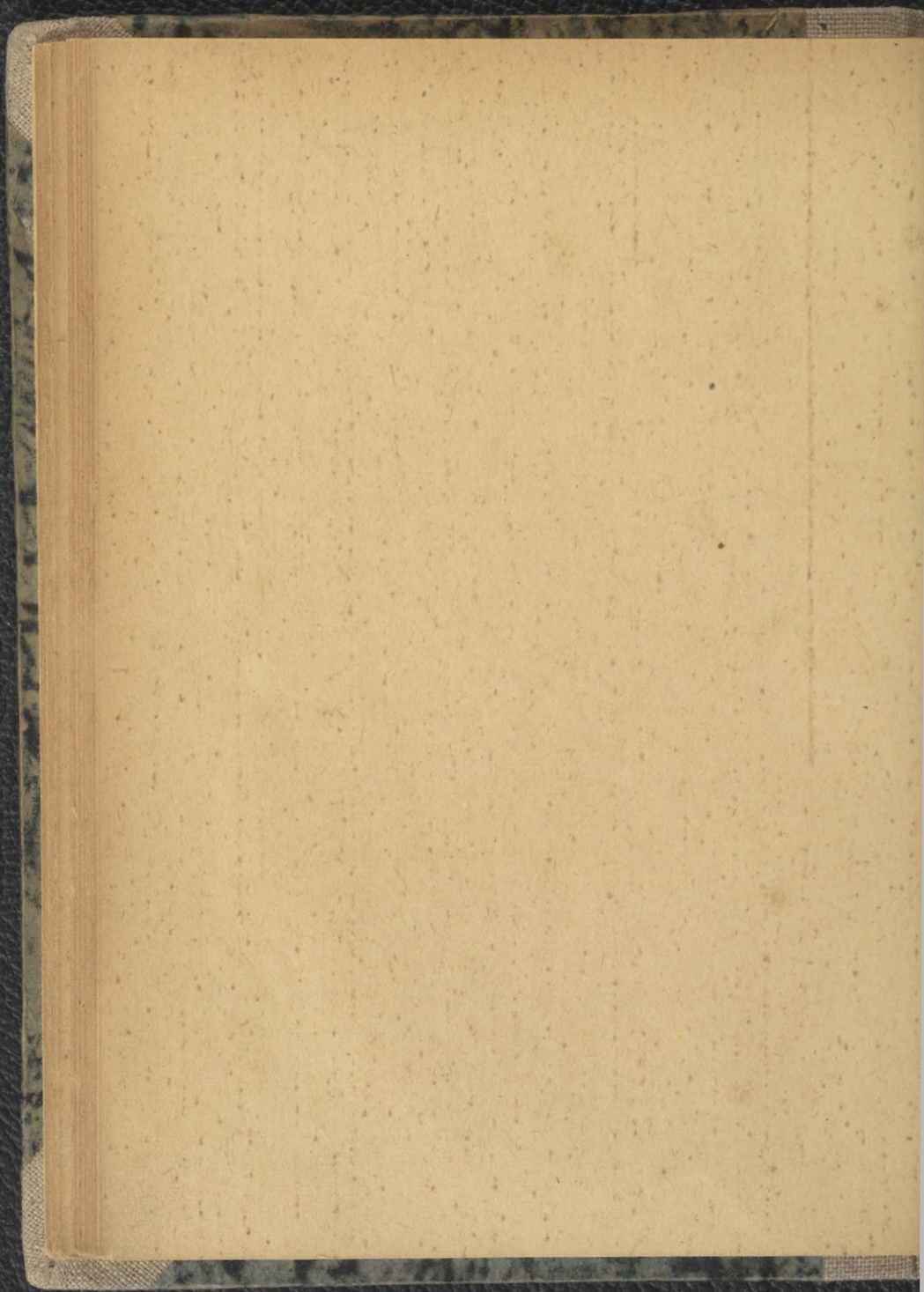
— Z największą chęcią — odrzekł wróbelek — nie posadzę jej na trawniku, bo kosiarze mogliby ściąć młodziut-

ką latorośl razem z trawą, ale jest tu wyborny kącik pod samym płotem, tam twojej pestce będzie bardzo wygodnie i bezpiecznie.

— O, dobrze, dobrze!

I mała wisienka podała rumiane swoje policzki wróbelkowi, on je spożył z wielkim smakiem, potem wziął pestkę w dzióbek i zasadził ją pod płotem. Roślina zamknięta w pestce czeka cierpliwie, aż ją deszczyk i słońce wydobędą spod ziemi; wróbelek codziennie tam przylatuje i skacze pod płotem, wygląda zapewne przyjscia na świat młodziutkiej wisienki.





## KURY I KACZKI

### I.

Już świta; pierwsze promienie słońca wpadają przez małe okienko do kurnika. Kury śpią jeszcze na grzędach i tak zabawnie wyglądają z jedną nóżką podgiętą, z główką schowaną pod skrzydło. Ale kogut już się przebudził, potrząsa prawą łapką, ogląda się dokoła — cicho wszędzie, spokojnie.

— O! jakże ja dziś zasnę! — woła — słońce już wschodzi, ku-ku-ri-ku!

Na ten odgłos kury wszystkie wysuwają główki spod skrzydeł, trzepocą się, gdaczą, rozmawiają.

— O, moja droga — mówi jedna do drugiej — jaki dziś miałam sen prześliczny!

— Wyobraź sobie, takie niezmierne mnóstwo ziarenek spadło z nieba, że całe podwórko było nimi pokryte na cal grubości. Chwyciłam je całym dziobem, a tu sypało się i sypało bez ustanku.

— A mnie — rzekła druga — śniło się,



zem znalazła robaka tak dużego, tak długiego, przynajmniej jak ta drabina. Chciałam go pochwycić, ale znikł nagle, a ja się przebudziłam.

— To doprawdy bardzo ładne sny — powiedziała młoda kureczka, która słuchała z zajęciem tej rozmowy — mój nie był tak przyjemny. Chwała Bogu, że to tylko sen. Wyobraźcie sobie, że czułam się na rożnie, a kucharka polewała mnie masłem i obracała pomaleńku. Brr! aż mnie dreszcz przejmuje.

— Na rożnie!—zawołały kury—skądże ci znów takie straszne myśli przychodzą do głowy? Bądź spokojna, teraz właśnie jajka znosisz, nie pójdiesz na rożen.

Ba! kto to może wiedzieć! Ten sen zepsuł mi humor na cały dzień.

— Któż widział na sny zważać? — odezwała się stara kokosz. — Mnie się śniło kiedyś, zem zniosła czerwone jajko i wyszło z niego kociątko — a jednak ten sen nigdy się nie sprawdził.

W tej chwili otworzyły się drzwiczki od kurnika i wszystkie kureczki wybiegły hurmem na podwórko.

— Słuchajcie-no, jejmościanki — za-



wołał kogut — mam z wami do pomówienia, pięknych rzeczy się o was dowiaduję. Czy to rozsądne kury tak robią? Powiadają, żeście się wczoraj uganiały po wiejskich ogrodach, żeście skubały sałatę i objadały porzeczki. Gospodynie biegały za wami i przezywały was bardzo brzydko. Wstydziecie się! czy to tak powinny postępować dobrze wychowane kury? Macie tu dosyć pośladu i nie potrzebujecie rabować ogrodów. Proszę bardzo nigdzie nie odchodzić, tylko po podwórzu się przechadzać.

Opowiadano mi także, żeście się wieczorem pobiły o te chrząszcze, które Czubatka znalazła pod bzami. Czy nie mogłybyście się zgodnie podzielić? Ale wy zaraz musicie takie nieprzyzwoite kłótnie wszczynać. Jeszcze to nie koniec. Gdzie to Krasnopiórka złożyła wczoraj jajko? W stodole na sianie, nieprawdaż? A czy nie mówiłem sto razy, że jajka trzeba znosić tu, w kurniku?

— Kiedy gospodyni mi je zaraz stąd zabiera — odrzekła Krasnopiórka.

— Nic dziwnego — mówił kogut — jeszcze za młoda na kwoczkę, nie miała-



byś cierpliwości siedzieć trzy tygodnie na jajach. A która to z was zniosła w tych dniach takie miękkie jajeczko jakby bez skorupki? To jest niedbalstwo; trzeba zawsze pamiętać i przełykać razem z jedzeniem trochę piasku i żwiru, bo to z tego się robi twarda w jajkach skorupka.

W tej chwili jedna kurka zniosła jajko i głośno zwiastowała tę nowinę towarzyszkom wołając:

— Ko-ko-ko!

Wszystkie kurki jej zawtórowały wesółym gdakaniem, nawet kogut zaśpiewał: ku-ku-ri-ku! i cała gromadka rozpierchła się po podwórzu. Parę starszych kur pobiegło do obórki, znalazło tam kupkę gnoju, w której było mnóstwo małych liszek białych. Za kilka dni miały z nich wylecieć muszki — ale już nic z tego nie będzie, bo kury zjadły wszystkie liszki na śniadanie.

Młodsze kureczki poszły za kogutem, on im wygrzebał z ziemi kilka glist różowych, bardzo smacznych, i wybornie sobie podjadły. Nadeszła wkrótce i gospodyni, na głos jej dobrze znany zbiegły się wszystkie kurki i zagdakały radośnie



chwytając ziarna, które im gospodyni posypała. Kogut przyszedł ostatni, obejrzał się dokoła, czy są wszystkie kury, a gdy je policzył, zaczął i sam ziarnka zjadać.

Gdy już wszystko wybierały do ostatniego ziarnka, kurki poszły wraz z kogutem powiedzieć dzień dobry pocziwemu pieskowi Burkowi, który nocował w budzie i pilnował całego gospodarstwa. Kurki żyły z nim w wielkiej przyjaźni.

— Cóż tam słychać nowego, Burku? — zapytała Czubatka dziobiąc okruszyny jedzenia w misce psa.

— Ważna wiadomość moje panie — powiedział Burek — podsłuchałem tajemnicę; gospodyni mówiła w mojej obecności...

— Co, co mówiła? — gdakały wszystkie kury.

— Nie przerywajcież, jeżeli chcecie się dowiedzieć — mówił Burek. — Gospodyni powiedziała, że kupiła parę... parę jakichś ptaków, zapomniałem, jak je nazywała. Ale wspomniała o piórach, więc muszą być do was podobne. Dziś jeszcze tu przybędą.

— Tu razem z nami mają mieszkać? —



zakrzyknęła Czubatka—a to nowa rzecz! I tak niewiele mamy ziarna, jeszcze jakieś tam ptactwo będzie nam i to zjadało. Robaków w tym roku bardzo mało; taka posucha, że wszystkie wyginęły; i co my tu poczniemy z tymi natrętami? Ja im tak dokuczę, że oni prędko stąd uciekną.

— Bardzo proszę — odezwała się stara kura — jak to można mieć tak mało uprzejmości! Ja bardzo będę rada tym gościom, pewnie nam coś nowego powiedzą, a ja przepadam za nowinkami. Takie tu u nas nudy teraz, będzie przecież jakaś rozrywka.

— Ciekawam jak te ptaki wyglądają? — zagdakała młoda kokoszka — czy ładne mają piórka, czy czubate? Już to z pewnością nie ładniejsze są ode mnie; ciocia mówiła, że w życiu nigdy nie widziała takiej prześlicznej kureczki jak ja, a ciocia zna się na tym i mówiła jeszcze...

— Cicho, cicho, gadulska — przerwał kogut — wszystkieście jednakowe, próżne, gadatliwe i plotkarki. Pewny jestem, że te nowe ptaki będą daleko rozsądniejsze i lepiej wychowane od was.



Mówiąc to kogut nastroszył grzebień i poważnie kroczył na łąkę, a kurki szły za nim gdakając ciągle zawzięcie. Znalazły jeszcze parę robaczków na łączce, potem poprzysiadały pod drzewami i tam spędziły kilka godzin wypoczywając i drzemiąc potrosze. Wtem ukazała się dziewczka z koszem przykrytym w rękę i szła prosto na dziedziniec folwarczny.

— Patrzcie! patrzcie — to pewnie te nowe ptaki — zawołała Krasnopiórka i pędem pobiegła za dziewczką; wszystkie kury pomknęły za nią. Dziewcka tymczasem wyjęła z kosza parę pięknych kaczek i puściła je na podwórze.

— Niczego są te ptaki — rzekła Czubatka — szczególnie kaczor bardzo przystojny. Jakie ma ładne zielone piórka na głowie, tak się mienią i błyszczą na słońcu!

— Ale kaczka za to nieosobliwie wygląda — rzekła inna kura — wcale nie jest ładniejsza od nas, piórka ma takie sobie zwyczajne, szare i brunatne, do czego to podobne!

— Patrzcie, patrzcie! jak one chodzą, te kaczki! — zawołało kilka kur.



Kaczki, nieprzyzwyczajone zapewne do tak liczego towarzystwa, nieśmiało spoglądały dokoła i chciały się oddalić od tych ciekawych kur, ale zaledwie uszły kilka kroków, gdy śmiech szalony wybuchnął pomiędzy kurami.

— Czy widziałyście kiedy takie powykręcane nogi? — wołała Krasnopiórka.

— Przypatrzcie się, jak te nogi dziwnie są osadzone — mówiła Czubatka — nie pośrodku ciała, ale zupełnie gdzieś w tyle. Dlatego to one chodzić dobrze nie mogą.

— Ach, co to za nogi — krzyczała inna kureczka młodziutka — przypatrz-no się, mateczko, skóra pomiędzy palcami!

— Co też ty pleciesz! — odrzekła matka.

— Ale naprawdę, mamo, ja mam dobre oczy, widzę doskonale; wszystkie palce są przerosłe skórą.

— To zabawne — mówiła matka — do czego to mogą służyć takie dziwne palce? Ciekawa rzecz, jak one mogą nimi grzebać ziemię? a czy widział kto takie płaskie dzioby? zupełnie tak wyglądają jak-



by kto złożył dwie łyżeczki. Ja bym nie potrafiła ani jednego ziarna pochwycić takim niezgrabnym dziobem.

Kaczki nie rozumiały dobrze tych wszystkich żarcików, bo jeszcze nie przywykły do mowy kur, przeszły całe podwórko kołyszając się po swojemu, zbliżyły się do sadzawki i wskoczyły do wody. Kury szły ciągle za nimi, a na ten widok zaczęły gdakać przeraźliwie, bo się zlekły o kaczki. Żadna kura nie miała-by odwagi zamoczyć nawet łapek w wodzie.

— Stójcie! stójcie! — wołał kogut, który chciał już wziąć nowoprzybyłą parę w opiekę — to woda, w wodzie utonąć można!

Kaczki nie zważały wcale na te wołania i płynęły do małej wysepki leżącej w samym środku sadzawki. Kury stały wszystkie na brzegu, wyciągały szyjki i nie spuszczały oczu z pływających ptaków.

— Szczególna rzecz — rzekła na koniec Czubatka — kto by się spodziewał, że one potrafią utrzymać się na wodzie! Ale w ciągłym jestem strachu, bo to nie



może długo potrwać, zobaczycie, że źle będzie z nimi. A co! nie mówiłam? Kaczor płynie dobrze, ale kaczką zanurza głowę, już do połowy jest w wodzie, tonie! ratujcie! biedna kaczką tonie!

Kaczką tymczasem najspokojniej wynurzyła się z wody trzymając w dzióbku długie źdźbła wodnych roślin, które sama jadła i podała kaczorowi. Czubatka była zdumiona.

— Coś jedzą! to musi być jakaś wyborna potrawa! Żeby mi dały pokosztować! Teraz już rozumiem, do czego im służy ta skóra pomiędzy palcami: do pływania niezawodnie, a ja nie mogę się utrzymać na wodzie, bo takich nóg nie mam. Patrzcie, patrzcie, już dopłynęły do wysepki i wylądowały! Szczęśliwe te kaczki poszły sobie do budki. Co tam może być w tej budce, co stoi na wysepce? Pewnie jakieś przysmaki, a my się tam dostać nie możemy.

Kaczki posiedziały trochę w budce, zapewne umyślnie dla nich zbudowanej na wysepce, potem znowu zaczęły pływać po sadzawce chwytając w wodzie małe żabki i wyciągały wodorosty, na koniec



pod wieczór zbliżyły się do brzegu. Kury patrzyły na nie ciągle ciekawie, a kogut powiedział:

— Rad jestem, że wam się nic złego nie stało; ale wychodźcie już z wody, bo możecie się zaziębić i dostać kataru.

— Nie ma obawy — odrzekły kaczki — nasze piórka przepojone są tłuszczem i nie przepuszczają wody. Ale proszę nam powiedzieć, czy jest tu jaka sypialnia? Nam się już spać chce.

— Proszę za mną — rzekł kogut uprzejmie i poprowadził kaczki do kurnika. Pokazał im w kątku posłanie ze słomy, które gospodyni kazała dla nich przygotować, potem zliczył kury, a przekonawszy się, że wszystkie są w kurniku, wskoczył na drabinę i powiedział dobranoc całemu towarzystwu.

Kury poszeptały jeszcze troszkę pomiędzy sobą i usnęły po chwili. Tylko jedna Czubatka miała noc niespokojną.

Usadowiła się na żerdzi ponad kaczkami i ciągle się obawiała, żeby na nie nie spaść.



II.

Krasnopiórka chce koniecznie siedzieć na jajach; ciągle gǳące, piórka stroszy i przysiada po kątach, chcąc dać do zrozumienia gospodyni, że powinna jej gniazdo przygotować.

Kaczka po długiej naradzie z kaczorem postanowiła toż samo uczynić. Urządziła sobie gniazdo ze słomy i siana w najciemniejszym kącie kurnika, a chociaż dotąd ma tylko jedno jajko, siedzi na nim ciągle. Kury, niezmiernie ciekawe, chciałyby koniecznie zobaczyć to jajko, bo im się zdaje, że jajko kacze musi bardzo dziwnie wyglądać.

— Moja droga kaczuchno—mówi Czubatka — nie uwierzysz, jak ja często myślę o tobie i jak ci szczerze życzę wszelkiej pomyślności. Czy nie zechcesz mi pokazać swego jajka? Wierz mi, że tylko przez wielką przychylność dla ciebie chcę na nie popatrzeć. Posuń się troszeczkę. O, jakie ładne! większe daleko od naszych i całe zielone. Winszuję, winszuję, kochana kaczko, dajże ci Boże wysiedzieć je szczęśliwie i doczekać się innych.



Wszystkie kury przychodziły jedna po drugiej i naprzykrzały się kaczcze, aż na koniec tak jej to dokuczyło, że powiedziała do kaczora:

— Mój kochany, nie chcę ja siedzieć na jajach w tym kurniku; taki tu niepokój z tymi kurami, że rady sobie dać nie mogę. Cały dzień gdaczą mi nad głową, a takie ciekawe, co chwila się o coś pytają i plotą ni w pięć ni w dziewięć. Wyobraź sobie, że któraś mnie wczoraj zapytała, czy ty znosisz jajka? A czy kogut je znosi? — odrzekłam obrażona. — Jak można tego jeszcze nie wiedzieć.

Nazajutrz po tej rozmowie kaczka odpłynęła na wysepkę wraz z kaczorem i usadowiła się w budce. Zostawiła swoje jajko, bo nie mogła go zabrać ze sobą, ale spodziewała się mieć ich więcej.

Krasnopiórka doczekała się nareszcie gniazda w kurniku i siedzi na jajach. Trzeba wielkiej cierpliwości, żeby przez trzy tygodnie z miejsca się nie ruszyć. Ale Krasnopiórka jest wzorową mateczką: siedzi spokojnie, czasem tylko wstaje na chwilkę, żeby podjeść trochę i łapki rozprostować. W kurniku przez cały



dzień pustki, kogut i kury na noc tylko tam powracają, młoda kureczka nie ma nawet do kogo zagadać, jedyną jej rozrywką jest łapanie much w powietrzu.

Nie sądzicie jednak, żeby Krasnopiórka się nudziła, o, nie! ona ma tyle na głowie! — siedząc na jajkach zawczasu już myśli o swoich kurczątkach kochanych, rada by odgadnąć, ile będzie kogucików, a ile kurek.

Kto wie, może który z kuraków będzie podobny do pięknego koguta z sąsiedniego folwarku. Krasnopiórka widziała kiedyś z daleka tego koguta i podobał jej się bardzo. Taki ma ogon wspaniały, a grzbiet... cacko prawdziwe! Prawda, że nie bardzo dobrze o nim mówią; ma być hardy i niegrzeczny dla swoich kurek.

Ale czy to wszystko prawda, co mówią?... Chociaż trudno nie wierzyć, bo o tym kogucie opowiadał Krasnopiórce pewien znajomy gołabek, bardzo poczciwy i rozsądny, nie powinienby darmo obgadywać nikogo.

— Ej, co tam — myśli sobie Krasnopiórka — mój kurak może być jeszcze piękniejszy od tego koguta, a z pewno-



ścią będzie lepszy i grzeczniejszy, bo ja go dobrze wychowam. Przyjdą kurki z sąsiedztwa i powiedzą: cóż to za śliczny kogucik! A któraś z naszych odpowie: to syn Krasnopiórki.

I nasza kureczka aż podskoczyła z radości myśląc o tym. A wtem kucharka przeszła tuż obok kurnika i smutniejsze myśli nasunęła Krasnopiórcze: może jej biedne kurczątko pójdą na rożen! Ach, to by było okropne! Kurka zamyka oczki, stara się odpędzić tę straszną myśl od siebie.

Tak przeszło dni dziewiętnaście. Krasnopiórka siedzi cierpliwie na jajkach, przeczuwa, że już niezadługo doczeka się kurczątek, bo w jednym jajku słyhać jakiś szmer, jak gdyby się coś poruszało. Mija dzień dziewiętnasty, dwudziesty, szmer słyhać ciągle, a jajko nie pęka. Co tu robić? Krasnopiórka chciałaby je rozbić, ale się boi, żeby nie zrobić co złego kurczątku, przy tym i kogut na to nie pozwala, powiada, że kurczątko powinny sobie same dawać radę, gdy przyjdzie pora wyjść z jajka.

Już nadeszła dwudziesta pierwsza noc,



od kiedy kureczka siedzi na jajkach, w kurniku cicho, śpią wszyscy i Krasnopiórka usnęła. Wtem nagle się przebudza i czuje, że coś się rusza pod jej skrzydłem.

— Ko! ko-ko-ko! — zawołała kureczka uszczęśliwiona; wszystkie kury się pobudziły, domyślając się, że to kurczątko przyszło na świat; ale nie mają ochoty wstawać, więc znów chowają główki pod skrzydełka i śpią w najlepsze.

Jedna tylko Czubatka przeciera oczy i zbliża się do młodej mateczki.

— Winszuję ci, kochanko — powiada — a teraz posłuchaj, ja jestem starsza od ciebie i mam już dużo doświadczenia. Ty pierwszy raz masz małe kurczątko, nie wiesz jeszcze, jak się z nimi obchodzić. Otóż pamiętaj najpierw, żeby ten malec nie wychylał się z gniazda, bo przeziębienie może być dla niego bardzo szkodliwe. Także kurczątko przeziębione w pierwszych chwilach po wyjściu z jajka nie rosną dobrze, a czasem na całe życie pozostają wątłe i osłabione. Pamiętam, jak jeden z moich synków, zaraz po wykluciu się z jajka, wymknął



mi się spod skrzydła i owiał go zimny przeciąg powietrza; wyobraź sobie, że chorował potem ciągle na oczy, aż póki mu wszystkie pióra nie urosły.

— O, dziękuję ci bardzo za tę przestro-  
gę — rzecze Krasnopiórka — będę czuwała  
troskliwie nad moim drobiazgiem.

Nadszedł dzień i młoda mateczka oba-  
czyła na koniec pierwsze swoje kurczątko. Jakie ładne! żółte, całe pokryte mię-  
ciuchnym puszkiem, a oczka ma czarne  
jak pacioreczki. Zaledwie kureczka po-  
wyrzucała skorupki z gniazda, gdy dru-  
gie kurczątko się wykluło; potem trze-  
cie, czwarte... Krasnopiórka nie może  
sobie z nimi dać rady, boi się, żeby nie  
skaleczyć tego drobiazgu, więc gospody-  
ni przychodzi jej z pomocą, pomaga wy-  
rzucić skorupy i wkłada trochę wełny  
do gniazda, żeby kurczątkom było ciepło.

Już na koniec wszystkie kurczątko się  
wykluły, jest ich spora gromadka, czter-  
naścioro; Krasnopiórka musi dobrze roz-  
kładać skrzydła, a żeby je wszystkie  
przykryć, ale malcy nie chcą siedzieć  
spokojnie i co chwila wysuwają łebki  
i spoglądają na świat Boży.



Gospodyni przygotowała smaczne jedzenie dla całej rodziny, położyła talerz na ziemi; kureczka zeszła na ziemię, wołała za sobą dziatwę:

— Glu-glu-glu-glu — chodźcie dzieci, mama nauczy was jeść... Co tu za dobre rzeczy! Jajka siekane, chlebek, troszkę sałatki, nic nie ma zdrowszego dla małych kurczątek.

Krasnopiórka bierze odrobinę jedzenia w dzióbek, ale go nie przełyka, tylko upuszcza na ziemię. Dwoje kurczątek najroztropniejszych od razu zrozumiało naukę mateczki, chwytają jadło dzióbkami i przełykają wybornie. Jeden malec przewrócił koziołka w talerzu, a dwoje najmłodszych chwytą okruszyny i upuszcza je po kilka razy nie mogąc sobie dać rady. Kureczka gdacze, zwołuje dziatwę, do każdego przemawia z osobna:

— Śmiało, kochanku, popróbuj jeszcze, chap! i połknij. A w talerz włązić nie trzeba, dzióbkiem tylko bierze się jedzenie. No, dosyć już, dosyć, odpocznij troszkę, nie trzeba być takim żarłocznym! A ty, synku, nie popychaj bracisz-



ków, to niegrzecznie, dosyć jest miejsca dla wszystkich.

Już cała gromadka się dobrze pożywiła, kurczątko schowały się znowu pod skrzydła mateczki.

Prześliczna dziś pogoda, gospodyni otwiera drzwi do kurnika, Krasnopiórka ma wielką ochotę wyprowadzić dziatwę na przechadzkę.

— Słuchajcie, moje dzieci, czy będziecie bardzo grzeczne?

— Pi-pi-pi-pi — odpowiadają kurczątko wszystkie razem.

— No, to chodźcież ze mną troszkę na podwórze, wygrzejecie się na słońcu, rozprostujecie łapki, ale pamiętajcie, nie odbiegajcie ode mnie ani na chwilkę, a jak tylko na was zawołam, natychmiast przychodźcie.

Cała rodzina przechadza się po dziedzińcu, kurczątko biegają naokoło mateczki, piszczą, pytają o to i o owo, ona rozmawia z nimi, tłumaczy im wszystko, opowiada. Ach! jak się przelekły, jak się tulią do matki. Obaczyły Burka.

— Dzień dobry, Krasnopiórko, — woła pocziwe psisko — jakżeśmy się da-



wno nie widzieli. Całe trzy tygodnie. Mówiliśmy codziennie o tobie z Czubatką. Chciałem nieraz zajrzeć do ciebie do kurnika, ale mi drzwi przed nosem zamykano. Pokaż że mi swoją dziatwę. Śliczne kurczątko, nie ma co mówić. Czy one się mnie boją? No, no, już idę.

— Ale nie, proszę się nie śpieszyć, ja im zaraz wytłumaczę — i zwraca się do kurczątek: — Słuchajcie, dzieci, to jest Burek, wielki nasz przyjaciel, popatrzcie na niego i nie bójcie się, bo on wam nic złego nie robi. A ciekawam — mówi znów do Burka — co się dzieje z tą poczciwą kaczuchną, czy wysiedziała już swoje jajka?

— Nic nie wiem — odpowiada Burek — dawno jej nie widziałem, ale oto kaczor idzie, możesz go się zapytać. I czego on tak hałasuje?

Kaczor w rzeczy samej wrzeszczał przeraźliwie:

— Kwen-kwen-kwen, te kury takie są żarłoczne, wszystko same zjadły, nic mi nie zostawiły, kwen, kwen, kwen, kwen.

— Mój kochany — rzekł Burek — któż temu winien, że ty się zawsze mu-



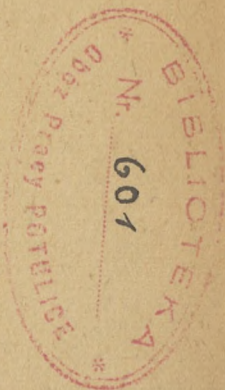
sisz spóźnić, nigdy nie przyjdiesz w porę, jak gospodyni ziarno posypie.

— Nie mogę przecież odchodzić często od mojej żoneczki — odpowiedział kaczor — toż wiecie, że ona siedzi na jachach. Poczciwa żoneczka, jakiej to trzeba cierpliwości, żeby trzydzieści i jeden dzień wysiedzieć na jednym miejscu!

— To kawał czasu — rzekł Burek — ale za to jaka to radość będzie dla mateczki, gdy kaczęta wypłyną z nią na wodę. Dobrze by jednak było, żeby wasze dzieci nauczyły się chodzić troszkę zgrabniej od was. Należałoby je za młodu do tego przyzwyczajać.

— Nie, nie, na to nie ma rady — rzekł kaczor — dzieci muszą tak chodzić, jak chodzili ich ojcowie i pra-pra-dziadowie. Gdybyśmy chcieli chodzić inaczej, toby się z nas wszyscy nasi krewni bliżsi i dalsi wyśmiali nie wyłączając łabędzi.

— Trzeba się teraz mieć na ostrożności — mówił Burek — tyle tego drobiazgu będzie chodziło po podwórzu, żeby czasem nie przydeptać którego. A rękę, że wszystko to będzie się ciągle kręciło koło mojej budy.





A wtem Burek spostrzegł jakąś cudzą krowę na podwórzu. Pobiegnął natychmiast za nią i zaszczekał donośnym głosem ostrzegając nieznajomą, że tu bez pozwolenia wchodzić nie wolno.

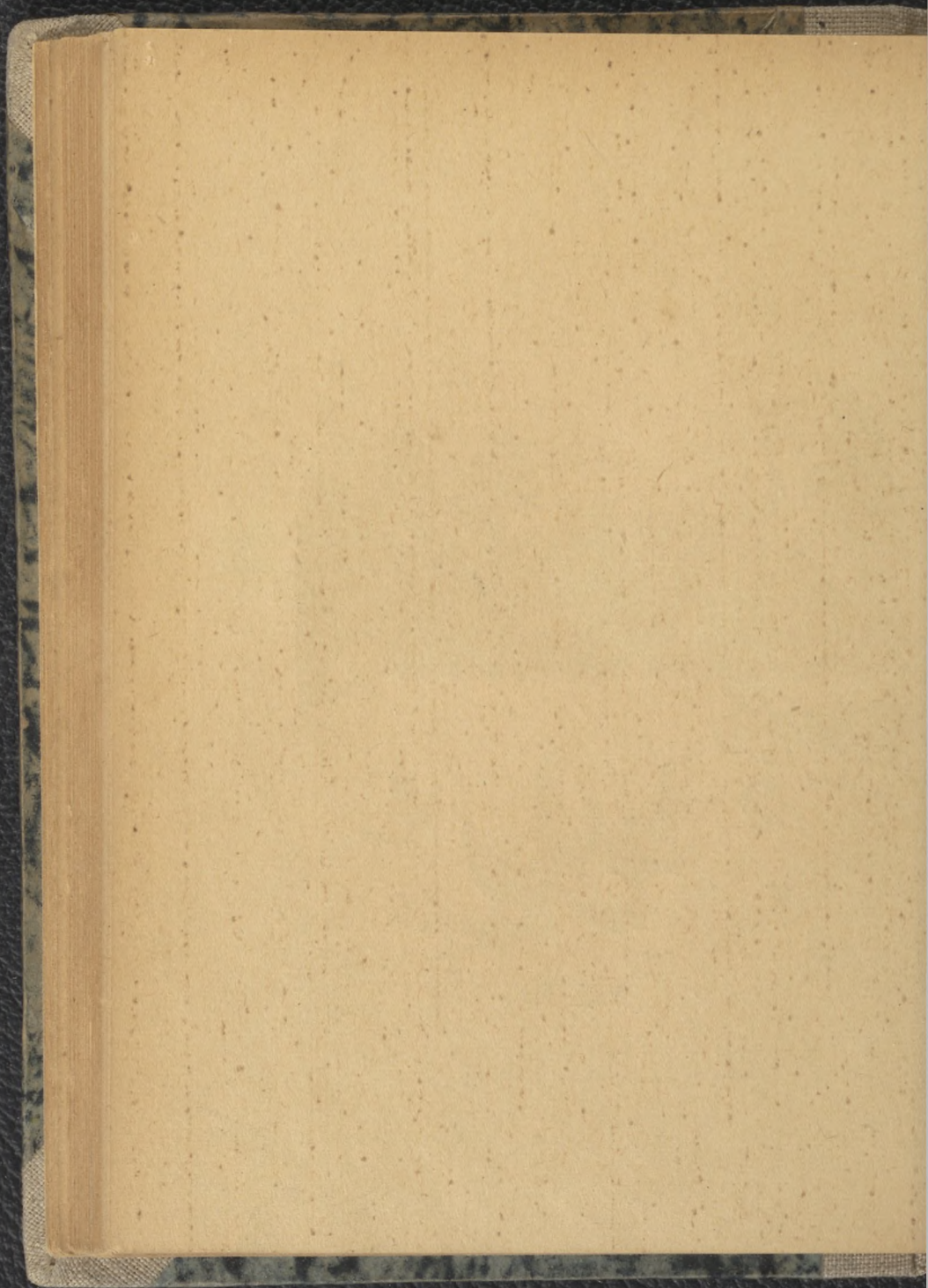
W dwa tygodnie potem dwie szczęśliwe mateczki przechadzały się razem po podwórku. Krasnopiórka prowadziła za sobą swoje kurczątko, a kaczka kaczątko. Jedna woła: Glu-glu-glu-glu, a druga: kwen-kwen-kwen. Obie z czułością patrzyły na swój drobiazg i radziły o przyszłości synków i córeczek.





W dwa tygodnie potem dwie szczęśliwe mateczki przechadzały się razem po podwórku.









## JASKÓŁKI

### I.

Bim, bam! bim, bam!

Tak mówi dzwon zawieszony wysoko na starej dzwonnicy kościelnej.

Na ten odgłos mama-jaskółka, siedząca na jajkach w gniazdeczku ulepionym przy oknie dzwonnicy, zaczęła się kręcić niespokojnie, bo jedno z piskląt w tej chwili właśnie wydobywało się ze skorupki.

— Cóż to za hałas! — mówiła jaskółka zafrasowana. — A biedny ten malec w takiej chwili właśnie na świat przychodzi! Gotów ogłuchnąć nieboraczek na całe życie.

Reszta piskląt, wcześniej wyklutych, przytuliła się na samym spodzie gniazdek, żadne się ruszyć nie śmiało z wielkiego przestachu. Bo też odgłos dzwonów był naprawdę przerażający. Cała dzwonnica drżała od posad do szczytu.

— Toż kłopot prawdziwy — odezwał się ojciec — ale samaś sobie winna, moja



duszko; gdybyś była usłuchała dobrych rad poczciwej naszej ciotki, nie byłabyś tu budowała gniazdka. Ptaszki naszego rodu rzadko kiedy gnieźdzą się na takich wyżynach. Tylko pokrewne nam jerzyki lubią sadowić się wysoko, ale po cóż je mamy naśladować?

— Ciocia wie swoje, a ja swoje — odrzekła mama-jaskółka trochę urażona — wolno jej lepić swoje gniazdko w stodołę, nie przeszkadzam jej wcale, ale ja lubię rozrywkę i piękne widoki, a tu właśnie jest widok wspaniały. Bardzo mi tu wesoło, i teraz nawet, siedząc tak długo na jajkach, nie nudziłam się wcale, a to mi i na zdrowie posłużyło.

Na koniec dzwony przycichły. Małe jaskółeczki zaczęły podnosić główki i rozdziawiać dzióbki upominając się o jedzenie.

— Patrzcie państwo! już jeść proszą — mówiła jaskółka — te dzieci są nienasycone. Cicho, cicho, żarłoki małe. Pewnie wam się zachciało znowu mięciutkich muszek? Poczekajcie troszkę; przecież każde z was zjadło już dziś z tuzin przynajmniej tych smacznych muszek. Tatko



jest zmęczony, a ja muszę się zająć małym waszym braciszkiem, który z jajka się wydobywa. Niebożatko takie jest wątle i mizerne! Patrz-no, mężulku, nie może nawet łapką poruszyć.

Ale pisklęta nie troszczą się wcale o małego braciszka, krzyczą wniebogłosy, napierają się jeść, tatko rad nie rad musi lecieć po muszki. Oto już powraca. Cztery dzióbki otwarte wyciągają się ku niemu. Jeden malec dostał muszkę, zamknął oczka z wielkiej radości, reszta krzyczy jeszcze głośniej, a gdy tatko powraca z nową zdobyczą i tamten wrzeszczy wraz z innymi.

Chwała Bogu, cała gromadka już nasyciona! Tatko musi i sam pożywić się trochę, a mama wypocznie przecież choć chwilkę. Biedna mama! ledwo oczy przymknęła, już jeden z malców krzyczy przeraźliwie:

— Kole, mamuniu, kole! — i szturcha skrzydełkami śpiące rodzeństwo.

— Cicho, moje dziecko, cicho! — mówi mateczka — pobudzisz braciszków.

Malec umilkł, ale po chwili znów woła:



— Kole, mamuniu, okropnie kole w brzuszku!

I nic dziwnego, że go kłuło: mama obejrzała starannie gniazdko i spostrzegła w nim parę skorupek z jajka, z którego wyszło najmłodsze pisklątko. Zapomniała je wyrzucić, przeraźliwy dźwięk dzwonów był zapewne przyczyną tego roztrągnięcia. Na koniec wszystko się uciszyło, noc zapadła, jaskółki przespały się trochę, ale jeszcze przede dniem pisklęta znów krzyczeć zaczynają i napierają się śniadania, a tatko musi je zabawiać świegotaniem. Pomimo tych wszystkich kłopotów, para jaskółek, tatko i mama, są uszczęśliwieni widokiem swoich piskląt. Z dumą na nie spoglądają, bo też mają się czym pysznić. Czwooro dzieci! dwóch synów i dwie córeczki, czyż nie jest to prawdziwe błogosławieństwo Boże?

Tatko usiadł na gzymsie i spoglądając na rodzinę cieszy się swoim szczęściem domowym. Ma dobrą żoneczkę, łagodną, pracowitą, kochającą, dzieci ładne i zdrowe. Dzieci te mają wprawdzie swoje wady, ale któż jest bez wady? Już dzięki



Bogu zaczynają w piórka porastać, pora im dawać imiona.

— Dla młodszej mojej córeczki mam już imię gotowe — myśli sobie — nazwę ją Świegotką. Nie znam jaskółki, która by tak młodo jak ona śpiewać zaczęła. Czasem mi się zdaje naprawdę, że ta mała musiała już śpiewać w jajku.

Wtem hałas dochodzi go z gniazdeczka, bo dziatwa jakieś spory i sprzeczki rozpoczęła, najmłodsze piskłę krzyczy wniebogłosy.

— Otóż to tak ciągle z tą niezdolną małą — mówi matka zniecierpliwiona spoglądając na starszą córeczkę — to istna przekora, chwili spokoju nie daje biednym braciszkom. Oto i teraz wlaźła temu malcowi na grzbiecik i pazurek mu wpakowała w oczko.

— Wstydź się! — rzecze jej ojciec rozgniewany — poczekaj, mam już i dla ciebie imię stosowne, będziesz się nazywała Przekorka. A ty, mój grubasku — dodaje zwracając się do starszego synka — nie znam jeszcze dobrze twoich skłonności, widzę tylko, że masz dzióbek bar-



dzo króciuchny, dla ciebie najlepsze imię będzie Krótkodzióbek.

Najmłodszy synek, drobny i szczuplutki, otrzymał już przedtem od mamy imię Żdziebełka.

## II.

Nasze jaskółki mają gości często. Znajomi tatki i mamy przychodzą ich odwiedzać i dowiadywać się o zdrowie Żdziebełka, bo malec jest chorowity i rodzice zrazu lękali się o niego; sądzili, że się nie wychowa. Kiedy niekiedy przylatuje dziadunio, a zawsze przynosi dzieciom przysmaki w dzióbku: to muszki, to liszki, to małe motylki.

W gniazdeczku jaskółek radość jest wielka, gdy przyleci dziadunio. Świegotka śpiewa mu zaraz najładniejszą piosenkę, Żdziebełko wyłazi na główkę braciszka lub siostrzyczki i chwali się, że urósł znacznie, a Krótkodzióbek nie może się napatrzyć na dziadzia, który mu się wydaje bardzo piękny.

— Mamo — pyta cichutko — czy i ja będę miał kiedyś takie duże skrzydła i taki śliczny grzbiecik granatowy jak dziadzio?



— Zapewne — odpowiada mama.

Nasze pisklęta rosną prędko i sił nabierają. Dziadunio mówi, że mogłyby się już uczyć latać. Dzieci to słyszały i nieraz, gdy rodzice odlecą i polują na muchy, one rozmawiają o przyszłych swoich podróżach.

— Już to z was wszystkich najprędzej pewnie nauczę się latać — powiedziała Przekorka — bo jestem najstarsza. Zobaczycie, że niezadługo polecę na dach tego budynku, gdzie wielki zwierz mieszka.

— On się nazywa konik — mówi Świegotka.

— Tak, tak, konik — rzecze Przekorka — chciałabym go z bliska obaczyć! Mama mówiła, że on wcale nie ma dzióba i cały jest włosami obrośnięty. Jak to musi śmiesznie wyglądać taki zwierz bez dzióba! Wyobraźcie sobie, do czego byśmy byli podobni, gdybyśmy dzióbków nie mieli!

Na te słowa cztery małe jaskółeczki wybuchły głośnym śmiechem.

— A ja — rzekł Krótkodzióbek — bardzo bym chciał zobaczyć z bliska czło-



wieka. Tatko mówił, że człowiek ma na samym środku twarzy coś podobnego do naszego dzioba i to się nazywa nos.

— To musi być zabawne! — mówi Świegotka — podobno człowiek jeździ na koniu, nie lubi much, ciągle się od nich opędza.

— Nie może być! — wołają inni.

Podobne rozmowy powtarzały się często, aż dnia pewnego rodzice zapowiedzieli dzieciom, że zaczną się uczyć latać.

Wielkaż to była radość dla naszych piskląt, gdy tatko ustawił je rzędem na samym brzegu gniazdka. Ale cóż się stało? Żdziebełko wskoczył znowu do gniazdka i nie chce z niego wychodzić. Ptaszeczek popatrzał w dół, w ulicę, i zobaczył, jak tam strasznie głęboko.

— Ja nie chcę latać! — woła przestraszony — nie będę nigdy latał, nigdy!

— Ależ nie możesz wiecznie w gniazdku siedzieć — powiada mama — musisz sobie kiedyś sam muszek nałapać, a w jesieni odlecimy razem do cieplejszych krajów, nie zostaniesz tu przecie sam jeden.

— Świegotka taka dobra, ona ze mną



zostanie, będzie mi łapała muszki — mówi Żdziebełko.

— Muszek nie ma w zimie — rzecze mama.

— Ona dobrze poszuka, to pewnie znajdzie.

I Żdziebełko przytulił się na samym dnie gniazdka; siedział tak cały tydzień, ani rozkazy ojca, ani łagodne słowa matki nie mogły go przekonać i trwogi jego przewyciężyć.

Pewnego rana dobra Świegotka przyniosła mu raz po raz kilka ogromnych much, nadzwyczaj smacznych. Siostrzyczka opowiedziała mu, że złapała te muchy nad wodą.

— Gdybyś ty wiedział, jak tam ślicznie na sadzawce! Mnóstwo małych rybek jest w wodzie, łabędzie pływają, kapałam się niedawno, to tak przyjemnie.

— To doprawdy musi być bardzo ładne — rzekł Żdziebełko — a te muszki są przewyborne... ale cóż, kiedy dzwonnica tak okropnie wysoka, a tam tak głęboko...

— Sam nie wiesz, czego się boisz — mówiła Świegotka. — Gdybyś tylko raz



jeden spróbował, zobaczyłbyś, jaka to pyszna rzecz jest fruwanie. Wiesz co, nikogo nie ma w gniazdku, tylko nas dwoje, nikt o tym wiedzieć nie będzie, spróbuj.

Żdziebełko dał się w końcu namówić. Usiadł na brzegu gniazdku, rozwinął skrzydełka: raz, drugi, trzeci! Już, już ma podlecieć i znów przysiada, nie może się odważyć, pazurki jego wpiły się w brzeg gniazdku.

— No, no, cierpliwości — powiada Świegotka śmiejąc się — jakoś to będzie

Przysiadła tuż przy nim, zanuciła piosenkę i niby niechcący popchnęła go skrzydełkiem, a biedny Żdziebełko rad nie rad zawisł w powietrzu. Serduszko mu bije jak młotem, co chwila mu się zdaje, że spadnie w przepaść. Ale trzyma się jakoś, porusza skrzydełkami, fruwa już naprawdę i po chwili siada na sąsiednim dachu. O! Jakże to miło odpocząć po takich trudach! A Świegotka zanosi się od śmiechu na dzwonnicy, wkrótce jednak przylatuje do niego i siada także na dachu.

— Ach! Ty niepocziwa siostrzyczko —



rzeczce Żdziebełko na wpół żartem, a na wpół z gniewem — a co by było, gdybym był spadł na ulicę, gdyby mnie kot był pożarł?

— Ja bym zapłakała,  
Trzy łezki wylała.

A potem śpiewałabym codziennie piosenkę na twoją pamiątkę:

Żdziebełko malutki  
Miał tu żywot krótki;  
Braciszek mój drogi,  
Pożarł go kot srogi;  
Trzy łezki wylewam,  
Żalobę przywdziewam.

— Niedobra jesteś — mówi Żdziebełko nadąsany — trzy łezki byś tylko wylała po mojej śmierci! Gdyby ciebie kot pożarł, to ja bym wszystkie łzy wypłakał, nie mógłbym się nigdy pocieszyć.

— Ależ ja tak tylko żartowałam braciszku — odpowiada Świegotka — no, nie gniewaj się i wracajmy do gniazdka!

Żdziebełko nie gniewał się wcale, bo się przekonał, że i on fruwać potrafi, a na drugi dzień taki już był odważny jak braciszki i siostrzyczki, puszczał się z ni-



mi na dalekie wycieczki. Ale na polowaniu nie miał jakoś szczęścia, nigdy mu się nie udało pochwycić żadnego owadka. Bo też to niełatwa rzecz pochwycić muchę w lot; trzeba umieć w samą porę dzióbek otworzyć, a ździebełko zawsze go otwiera za późno. Zawsze też gdy zrobi dzióbkiem chap!, zdaje mu się, że pochwycił muszkę, ona bokiem odlatuje, a on powraca do gniazdka jak niepyszny.

— A to co! — zawołała mama widząc w dzióbku jego skrzydełko motylka — raz przecież ci się powiodło.

— Gdzie tam — odpowiedział ździebełko zasmucony — jedno tylko skrzydełko złapałem, a motylek uciekł.

— Biedne dziecko! — rzekła mama i na pocieszenie przyniosła mu parę muszek.

### III.

Nasze jaskółeczki rosną zdłowo. Już teraz wybornie dają sobie radę same, fruują tak doskonale jak i rodzice, codziennie odbywają dalekie wycieczki. Spełniły się najgorętsze ich życzenia, poznały świat, odkryły w nim mnóstwo rze-



czy ciekawych i coraz nowych nabywają wiadomości. Zadziwiły się niezmiernie, a nawet przestraszyły trochę, gdy się dowiedziały, że większe ptaki pożerają mniejsze. Gdyby nie to, myślały sobie, świat byłby bardzo piękny.

Trudno sobie wyobrazić miłszą ptaszynę od Świegotki. Żywa, wesola, śpiewa przez cały dzień od rana do nocy. O wschodzie słońca rozpoczyna piosenki jedną po drugiej, a pamięta doskonale wszystkie, których ją matka wyuczyła: kołysanki do usypiania piskląt, różne piosenki o gorących krajach, o czarnych ludziach i muszkach złocistych. Wymyśla także i sama nowe ładne śpiewki, nuci o pogodzie, o błękitnym niebie, o chmurkach różowych i wielu innych rzeczach. Czasem znów wysławia swoje wdzięki:

Świegotka ma oczka czarne,  
Czarne oczka ma figlarne,  
Długie skrzydła, dzióbek krótki,  
Głosik śpiewny i miłutki;  
Śliczna, śliczna jaskółeczka,  
Śliczna, śliczna Świegoteczka.

Czasem Przekorka siada na samym



szczyt dzwonnicy i przerywa piosenkę siostrzyczki wołając na cały głos:

Nieładna Świegotka, nieładna,

A i śpiewaczka z niej żadna.

Świegotka nic na to nie odpowiada, bo nie lubi sprzeczki, rozwija skrzydełka i fruwa wesoło migając jak strzała w powietrzu.

Dziś jest niedziela; wszystkie jaskółki wybrały się na daleką wyieczkę, bo nie lubią odgłosu dzwonu, który je ogłusza. Powróciwszy zatrzymują się na chwilę przy otwartym oknie kościelnym. W kościele jest mnóstwo dzieci, stoją rzędem, chłopcy po jednej stronie, dziewczynki po drugiej i wszystkie chórem śpiewają.

— Co to takiego? — pyta Krótkodzióbek.

— Śpiewają — rzecze Przekorka — ale nie umieją tak ładnie śpiewać jak my.

— Ba! Cóż dziwnego — rzecze Świegotka i zaraz zaczyna nucić najpiękniejszą piosenkę, a siostrzyczka i braciszki jej wtórują; usłyszały je dzieci śpiewające w kościele i jedno po drugim popodnosiły główki spoglądając na ptaszęta. Głosy dzieci i głosy ptasząt wybornie się



ze sobą zgadzały i razem rozplywały się w powietrzu, razem się wznosiły ku niebu.

Ucichł śpiew w kościele i ptaszęta uci-chły. Żdziebelko zajrzał ciekawie przez okno, zobaczył coś bardzo ciekawego i skinął na siostrzyczki i na braciszka, żeby także patrzyli.

Ksiądz wyszedł na ambonę i zaczął mówić do dzieci, a one słuchały w milczeniu i z wielkim uszanowaniem. Potem wszystkie uklęknęły i powtarzały coś półgłosem za kapłanem.

Nasze jaskółeczki nie rozumieją dobrze, co to wszystko znaczy, przysłuchują się jednak bardzo uważnie.

— „I daj nam chleba naszego powszedniego“ — mówił kapłan, a przy tym wznosi ręce i oczy w górę.

— Czy słyszycie? — rzecze Żdziebelko — do kogo on mówi? Któż im daje chleba? Nie rozumiem, jak można się żywić chlebem, kiedy owady daleko są smaczniejsze. Ale ludzie podobno owadów nie jedzą. Ciekaw jestem tylko, kogo to oni proszą o chleb?

— Zapytajmy mamy — powiada Świe-



gotka — i ptaszki lecą do gniazda; tu wszystkie razem zaczynają opowiadać, tak, że mama nie może zrazu odgadnąć, o co im idzie, w końcu jednak zrozumiała wszystko.

— Chcecie wiedzieć, moje dzieci, do kogo ludzie mówią w kościele? — rzekła jaskółka matka.

— A tak, mamuniu — odzywa się ździebełko — tam w górze nie było niko-go, a oni wznosili ręce i przemawiali tak pięknie, i dziękowali, i prosili.

— Oni przemawiali do Tego, którego nikt widzieć nie może — mówiła matka. — A jednak On widzi wszystko i o każdym stworzeniu pamięta: daje chleb ludziom, trawę konikom i krówkom, orzechy wiewiórkom, owady jaskółkom. Ludzie niedzielę Mu poświęcili i dnia tego zgromadzają się w kościele, dziękują Mu za wszystkie dobrodziejstwa i śpiewają pieśni na cześć Jego.

— To pewnie Pan Bóg, mateczko — rzekł Krótkodzióbek — bo tam w kościele kilka razy to imię powtarzano.

— Tak, moje dzieci, Pan Bóg. Jaskółeczki także o Nim wiedzieć powinny



i kochać Go i dziękować Mu za wszystko.

Roztropna Świegotka nie zapomniała o tym, co mama opowiadała, i nazajutrz raniutko w piosence porannej dziękowała Bogu za wszystkie dobre rzeczy, które daje jaskółeczkom i śpiewała:

Owadów powszednich, o Panie,

Daj jaskółeczkom na śniadanie.

A potem dodała ciszej: — Ale dla mnie, Panie Boże, ześlij jak najwięcej tych dużych, bo je najlepiej lubię.

Cóż to się dzieje u naszych jaskółeczek? Mama od dwóch dni nie wychodzi z gniazdką, a młodzież nocuje na dzwonicy. Czy nie chora mateczka? O nie, ale dzieci powtarzają sobie do ucha wielką nowinę. Wkrótce będą miały maleńkiego braciszka, a może i kilkoro rodzeństwa. Tatko im powiedział.

Mama wygrzewa w gniazdeczku śliczne jajeczko nakrapiane, tatko jej jeść przynosi. Wkrótce do tego pierwszego jajka przybywa jeszcze trzy. Młode jaskółeczki zawczasu już postanawiają sobie opiekować się troskliwie tym młodym rodzeństwem. Jest ich czworo, ka-



źde nowonarodzone pisklątko będzie więc miało osobnego opiekuna.

Po dniach dwunastu drobiazg wychodzi z jajek; ale nasze ptaszęta zdziwione są bardzo widokiem malutkich braciszków i siostrzyczek.

— Wcale nie są ładni — mówi Przekorka krzywiąc się — wątpię bardzo, żeby to wyrosło na coś podobnego do nas.

Mama jednak upewnia, że i one wszystkie były takie same zaraz po przyjściu na świat. Małe pisklątka prędko porosły w pierze, chowały się zdrowo, bo też to było wśród lata, w najpiękniejszej porze roku. Starsze siostrzyczki i bracia dopomagali rodzicom w żywieniu i pielęgnowaniu tego maleństwa. Żdziebełko nie zapomniał dotąd figla, jakiego mu wypłatała Świergotka i użył takiegoż samego podstępu, aby nauczyć latać jedną z malutkich swych siostrzyczek.

#### IV.

Jesień! jesień się zbliża! Dni już krótkie, noce chłodne, a owadów coraz mniej na świecie. Rodzice zapowiadają dzieciom, że niezadługo trzeba będzie się wy-



bierać w daleką podróż. Niespokojni są trochę o młodsze pisklęta: one jeszcze tak mało mają doświadczenia; myślą także i o Żdziebelku, który jest dotąd szczupły i wąły.

Jeśli będzie piękna pogoda przez cały czas podróży, to wszystko pójdzie do brze, ale gdyby ich burza, broń Boże, zaskoczyła na morzu, to mogą być w wielkim niebezpieczeństwie. Biedna mama wzdycha i zamyśla się teraz często.

Co to za głosy odzywają się w powietrzu? To dziadunio i babunia dają znać, że już pora wyruszać w drogę. Ze wszystkich stron przelatują gromadki jaskółek i nasza znajoma rodzina wybiera się jak może najśpieszniej.

— No, dzieci — powiada mama z rozrzewnieniem — pożegnajcież gniazdko, starą dzwonnice, hałaśliwe dzwony. Ale nie — dodaje po chwili — ja się nie żegniam z tym wszystkim, bo jeśli Bóg pozwoli, wrócimy tu na przyszlą wiosnę. Zimą spędzimy w obcych krajach, ale tu prawdziwa nasza ojczyzna. W Afryce nigdy nie urządzamy gniazd, musimy tam



tylko się chronić w czasie mrozów, bo nam tu brakuje pożywienia.

Żdziebełko jest bardzo wzruszony, zabrał piórko z gniazdeczka na pamiątkę, gdyby mógł, zabrałby i gniazdko.

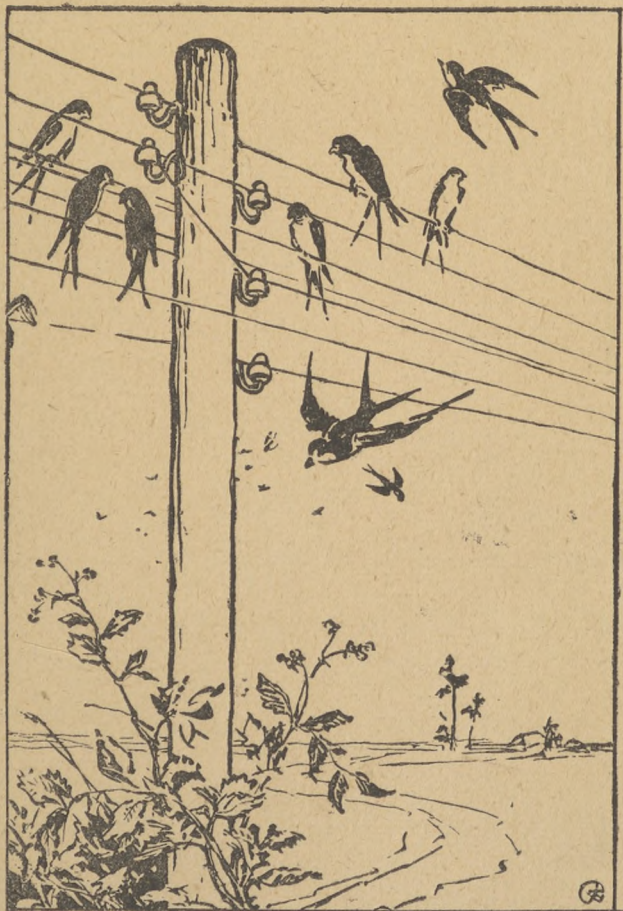
Jaskółki siadają gromadnie na dachach, na drutach telegraficznych, co chwila nadciągają nowe gromadki, jest ich tam pewnie kilkaset; wszystkie gwarzą, radzą, wyglądają nowych przybyszów aż do wieczora. O zachodzie słońca, na dane hasło, wszystkie razem wznoszą się w górę, puszczają się w drogę.

Do widzenia jaskółeczki!

Mówiono nam, że jaskółki dość szczęśliwie odbyły podróż. Jednakże nie obešlo się bez smutnych wypadków. Żdziebełko i jedna z młodszych siostrzyczek nie mieli siły dolecieć do wybrzeży afrykańskich. Osłabione biedactwa wpadły w morze, ciała ich przez czas jakiś kołysały się na powierzchni fal; potem znikły, poszły na dno, gdzie też pozostały.

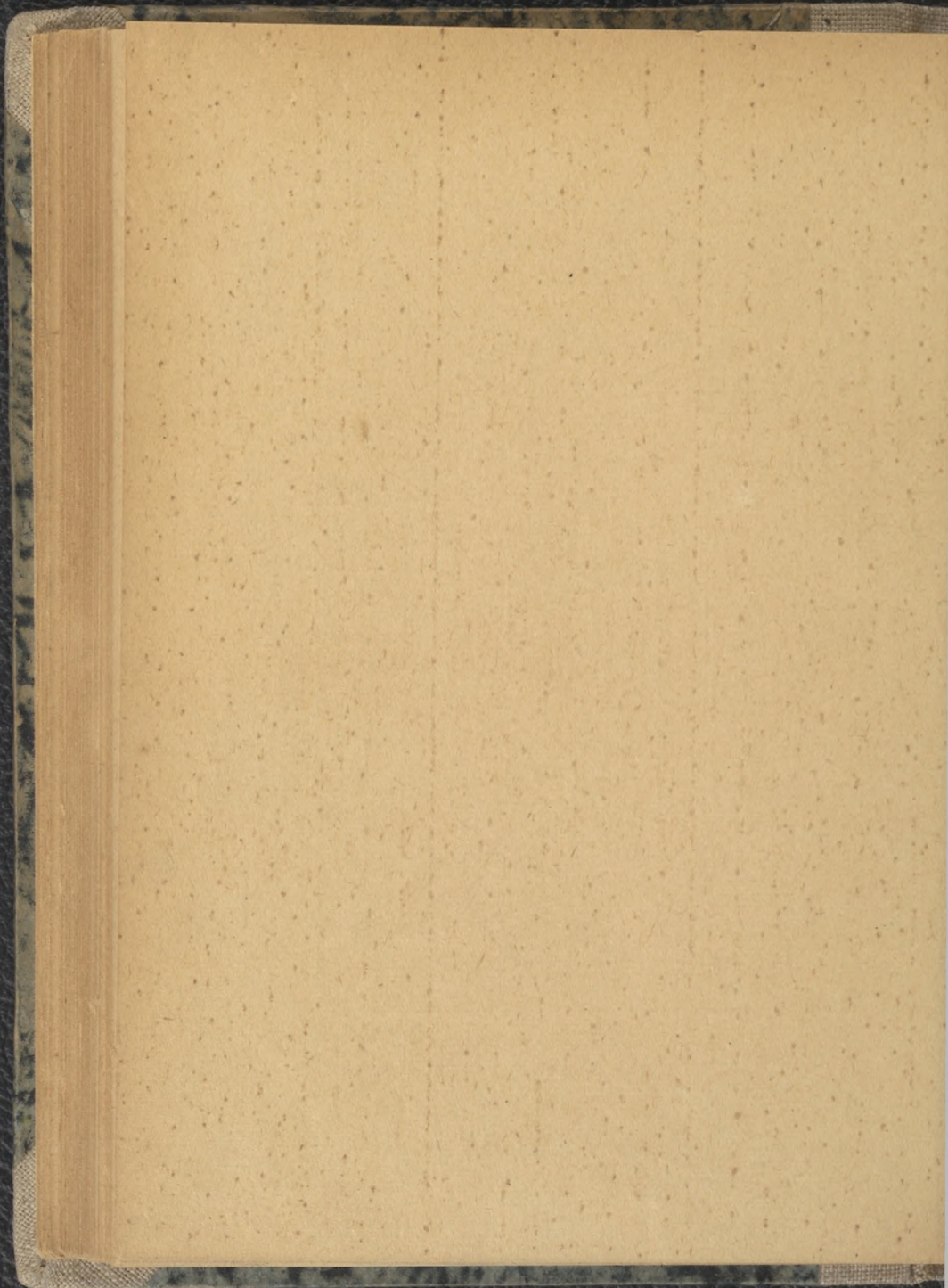
Następnego roku, na wiosnę, tam daleko, w gorącej Afryce, mały murzynek stał z matką w gajku palmowym.





Jaskółki siadają gromadnie na dachach, na drutach telegraficznych...







— Mateczko — rzekł malec wskazując na drzewa — czy widzisz, jak jaskółki się zbierają? Pewnie już odlatują.

W rzeczy samej liczna gromadka jaskółek zebrana była w gaiku, a na jednym drzewie palmowym usadowiła się znajoma nasza rodzina. Mateczka wyglądała bardzo uradowana. A wiecie dlaczego? Bo dziś jest wielkie święto rodzinne: odbywa się wesele wszystkich młodych jaskółeczek. Sędziwy dziadunio zakończył właśnie mowę przedślubną.

— Niezadługo, moje dzieci, powrócicie do ojczyzny, będziecie budowały gniazdko i hodowały nowe pokolenia jaskółek, tak jak czynili wasi rodzice.

Krótkodzióbek słucha z wielkim uszanowaniem i odwraca się do młodej swojej żoneczki:

— Czy uważałaś, co mówił dziadunio? Czy potrafisz ładnie gniazdo budować? O, niezawodnie, a ja ci dopomogę, żoneczko.

Ale żoneczka czym innym jest zajęta w tej chwili, gładzi starannie piórko rdzawe na gardziołku, bo się zanadto nastroszyły w czasie obrzędów weselnych.



Przekorka jest trochę zasmucona, bo musi się niezadługo rozstać z rodzicami. Mężulek jej mieszka nad brzegiem Sanu, i będzie musiała, powróciwszy do Europy, udać się za nim do Małopolski.

Uroczystości trwały aż do wieczora; śpiewano różne piosenki afrykańskie, zajądano owady zwrotnikowe, potem wszystko się uciszyło. Nazajutrz raniutko mały murzynek darmo gonił oczyma za jaskółkami: odleciały o zachodzie słońca.

Czy chcecie wiedzieć, co się stało ze Świegotką? Dobra ptaszyna nie chciała odstąpić rodziców, teraz właśnie buduje gniazdo na dzwonnicy, naprzeciw matczynego. Deszcz padał w nocy, znalazła więc trochę wilgotnej ziemi, rozrobiła ją lepiej jeszcze swoją śliną, mężulek jej dopomagał i robota idzie żwawo.

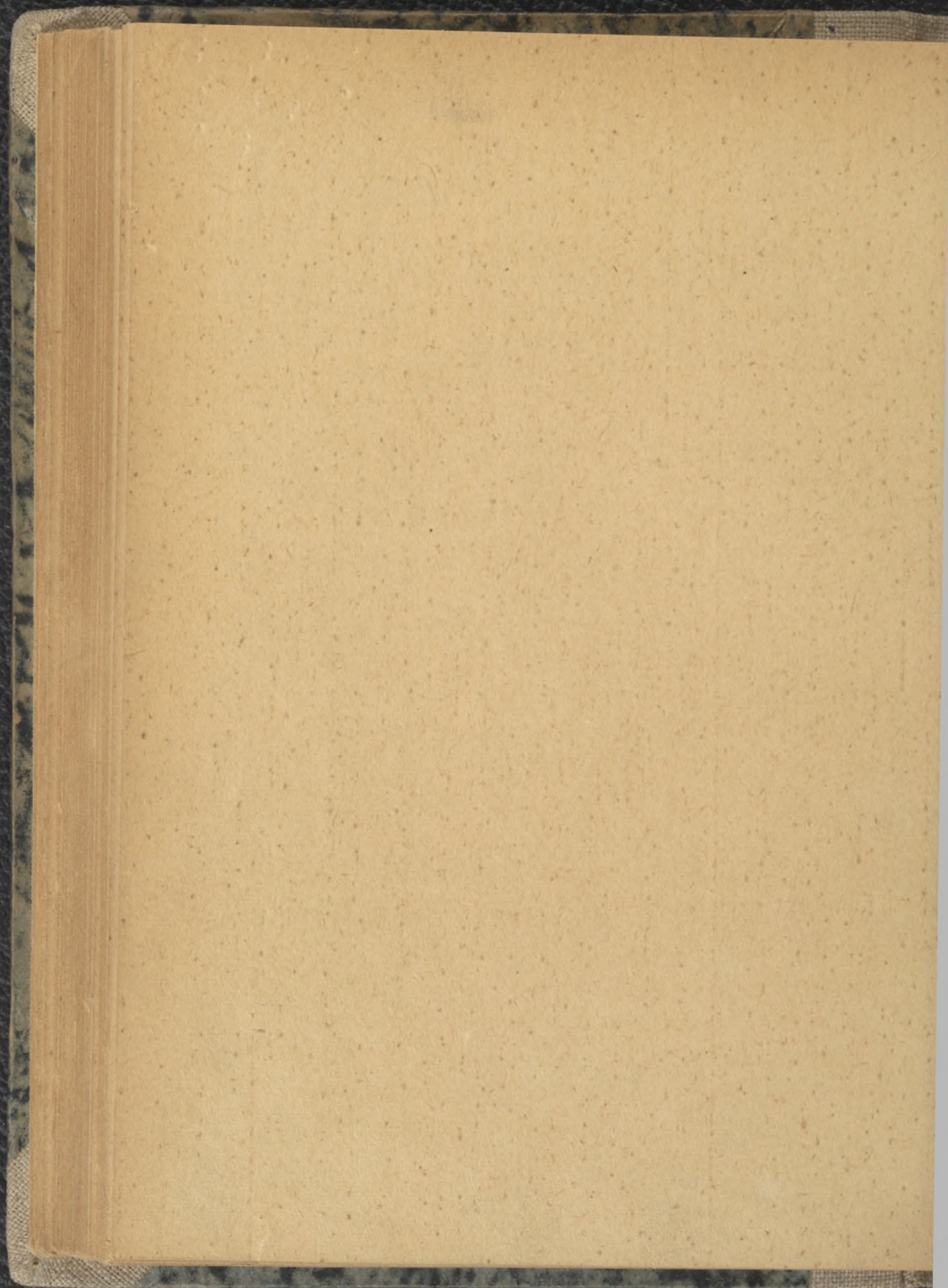
— No, teraz odpocznijmy trochę — mówi Świegotka — bośmy się już dobrze dziś napracowali. Siadaj tu koło mnie, mężulku, ja ci zaśpiewam ładną piosenkę.



I śpiewa, jak następuje:

Lepi gniazdko jaskółeczka,  
W gniazdeczku wnet złoży jajeczka  
I pisklęta wyhoduje,  
A wciąż sobie przyśpiewuje.







## WESELE ZIĘBY

### I.

Dre-lin-dzen! Dzen-dzen-dzen!

O! co za radość w lesie! Czy słyszycie, jak dźwięczą wesoło dzwoneczki majowej konwalii?

Dre-lin-dzen! Dzen-dzen-dzen!

Dawno już, dawno nie było takiego święta.

— Cóż to za szczęście!—świegocą ptaszęta w gniazdeczkach — dziś jest dzień uroczysty, wesele panny zięby!

— Panny zięby? — powtarza ze zdziwieniem młodziutka raszka.

— Jakto, czy nie słyszałaś o tym? — odzywa się starsza jej siostrzyczka. — Młoda zięba, sąsiadka nasza wychodzi za mąż za tego ptaka sierotę, co to go nasza babcia wychowała. Wyprawiają im przepyszne wesele; zgromadzenie będzie bardzo liczne, bo wszystkie ptaszki leśne sprzyjają sierocie, a i rodzice panny zięby są niezmiernie poważani. Stary to i zasłużony ród; powiadają, że już



od lat dwudziestu dziadowie ich i pradziadowie gnieździli się na tym dębie.

— Ale tu z naszego krzaka nic nie będzie widać; jaka szkoda! — rzecze młoda raszka.

— A to chodźcie do nas — odzywa się młody gil siedzący z braciszkiem i siostrami w gniazdku zawieszonym wysoko ponad gniazdkiem zięby — uczta weselna ma się odbywać w tym ogromnym pniu obalonym, który stąd widać doskonale. Tatko i mama zaproszeni są na wesele, a my zostajemy sami w gnieździe; ale będziemy widzieli wszystko i wybornie się ubawimy. Mówią, że panna młoda otrzymała prześliczne podarunki od krewnych i przyjaciół, będzie miała w co przystroić swoje gniazdko.

— Doprawdy! a co to za podarunki?— pytały młode raszki.

— Mama nam wszystko opowiadała — mówił dalej gil. — Jeden szczególnie z tych weselnych darów powszechnie był podziwiany. Jest to przepyszne pióro gęsie, miękkie, puszyste, a takie duże, że z pewnością pokryje całe dno gniazdecz-



ka. Inne ptaki ofiarowały kłaczek wełny, piękny szmat pajęczyny i długi włos koński. Ale zgadnijcie, co ofiarowała pani Szczyglica.

— Co takiego? — pytały raszki.

— Zabawna rzecz! Pani Szczyglica przyniosła sześć twardych szczecinek i pęczek puchu białego, co rośnie na ostach.

— Nic to dziwnego — rzecze mateczka młodych gilów, która w tej chwili przyleciała do gniazdka i ułyszała koniec rozmowy — szczyglica sama tym puchem zwykle wyściela gniazdko, więc wszystkich po sobie sądzi! Zresztą nic w tym nie ma złego i miękkiego puszek przyda się ziębnie z pewnością. Oto macie jedzenie, ptaszyny, a teraz śpijcie, ja lecę dalej.

Ale zaledwie matka odleciała, gdy dziatwa znów gawędzić zaczęła w najlepsze.

— Czy wiecie — mówiła raszka — obaczmy dziś wilgę. Nigdy jeszcze nie widziałam tego ptaka, a jest podobno bardzo piękny, ma pióra żółte i czarne. Powiadają, że umyślnie wcześniej niż



zwykle powrócił z Afryki, ażeby zdążyć na to wesele.

— A tak — odrzekł młody gil — bo on jest chrzestnym ojcem panny młodej. Ofiarował jej podobno duży pęk jakiegoś przepysznego mchu. Ale cicho, cicho, bo mama powraca.

Ogromne przygotowania do uczty weselnej rozpoczęły się już od samego rana. Rodzina zięby zawarła była od dawna umowę z towarzystwem robaczków świętojańskich. Błyszczące owadki podjęły się urządzać iluminację na każde wesele, a zięby za to zobowiązały się nie zjadać nigdy robaczków świętojańskich.

Dnia dzisiejszego stara zięba, ciotka panny młodej, zajęła się urządzeniem uczty weselnej i wszystkimi przygotowaniami do tej wspaniałej uroczystości. Najpierw więc zamówiła sześć dużych pajaków, a te podług jej wskazówek przedły ogromne sieci i zawieszały je na krzakach i niższych gałęziach, dokoła pnia obalonego, na którym uczta miała się odbywać wieczorem. Ciocia nie chciała nikomu powiedzieć, do czego ta pajęczyna miała służyć.



— To będzie niespodzianką — mówiła ciekawym z miną tajemniczą.

W czasie gdy pająki pracowały gorliwie, ciocia-zięba z pomocą trzech swoich krewniaczek zajęła się zastawą stołu.

Niełatwa to rzecz wybrać i wynaleźć stosowne potrawy dla każdego ptaka, a zaproszonych była spora gromadka z rozmaitych ptasich rodów. Dla mniejszych ptasząt znajdują się wszędzie ziarenka i drobne muszki, ale co tu robić z takim na przykład dudkiem, ze sroką lub wilgą? Czym je uraczyć?

Już to prawda, że przezorny dudek sam o sobie pamiętał: około południa przyniósł w dzióbku i oddał cioci-ziębie do schowania chrabąszcza, potem dużą szczypawkę i dwa piękne żuki czarne.

— Otóż to mój dar weselny — rzekł dudek — wieczorem spożyjemy te przysmaki w wesołym towarzystwie. Przytłukłem trochę łapkę owady, żeby się nie ruszały, ale zawsze proszę ich pilnować, bo mogą umknąć.

Dar ten wspaniały złożony był na pniu drzewa, gdzie już stało parę najwy-



kwintniejszych przysmaków, między innymi w miejscu przeznaczonym dla kosa kilka okazałych ślimaków, które bardzo smakowicie wyglądały.

— A teraz — mówiła ciocia-zięba do swoich pomocnic — nalewajcie wodę w te miseczki żółdziowe i ustawiajcie je rzędem, żeby każdy gość miał swoją, a ja biegnę po ziarnka i drobniejsze owady.

Pojmujecie, z jakim zachwyceniem nasze młode raszki i gile przypatrywały się tym przygotowaniom z wysokiego gniazda, gdzie sobie razem siedziały. Wykrzykniki radosne witały każdą nową potrawę, którą ustawiano na stole. Oto właśnie ciocia powraca, niesie lizkę, zbliża się do pnia obalonego i — zdobycz wypada jej z dzióbka.

Biedna ciocia! Jakiż widok uderza jej oczy! Wszystkie duże owady, przyniesione przez dudka, zmykają w najlepsze, już są w trawie, a ślimaki przygotowane dla kosa powystawiały łebki ze skorupki i także puszczają się tą samą drogą.

— Co ja tu pocznę! — wołała ciocia w rozpacz — nie dam sobie rady z tymi nieznośnymi stworzeniami.



Więc najpierw co prędzej dzióbnęła każdego ślimaka, a gdy już wszystkie jak niepyszne pochowały się w skorupki, rzuciła się na szczypawkę, chwyciła ją pazurami, a niełatwa to była sprawa, bo silny owad wyrywał się zawzięcie; dwie pomocnice łapały tymczasem żuki, i po chwili porządek był przywrócony.

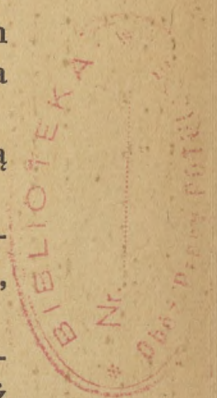
— Co tu robić? — mówiła ciocia-zięba — ja nie mam czasu pilnować tych owadów, a zabić ich nie potrafię, bo są za duże dla mnie.

— My byśmy cioci pomogli — wołają jednogłośnie młode raszki i gile.

— A to dobrze — mówi ciocia — pocciwe z was dzieciaki, chodźcie prędzej, bo my zaraz musimy lecieć dalej.

Ptaszeta przylatują natychmiast, niezmiernie są uradowane, że i one przecież dopomagać będą do przygotowań weselnych.

Wkrótce jednak tak się zmęczyły przy tej robocie, że wołałyby były siedzieć spokojnie w gniazdku. Aż je łapki bolały, tak trudno było utrzymać duże i silne owady, a za drobniejszymi lizzkami, robaczkami ciągle musiały uganiać się na-





sze ptaszeczki, bo wszystko to rozbiegało się co chwila w trawkę.

— Ach, ciociu-ziębo! — woła mały gil przestraszony — chodź prędzej na ratunek — szczypawka rzuciła się na chrabąszcza, ona go chyba zagryzie.

— Mniejsza o to, niech tam się gryzą, to przynajmniej nie uciekną — mówi ciocia.

Pocziwa ciocia uwija się jak mucha w ukropie; już z piątej czy z szóstej wycieczki powracała, gdy spostrzegła, że malutka raszka sama jedna stała na straży przy dwóch ogromnych żukach.

— Coś ty im zrobiła, kochaneczko, że tak cichutko siedzą? — spytała ciocia.

— Oho! znalazłam na nie dobry sposób — rzekła raszka — przewracałam je do góry nóżkami; mogą teraz kręcić się i łapkami wywijać, ile im się podoba, ale z pewnością mi nie uciekną.

— To dopiero dowcip! — wołała ciocia i dodała ciszej sama do siebie: — Już to co prawda to prawda, tegoczesne dzieci rozumniejsze bywają od starych. Ta mała na przykład nie ma jeszcze sześciu tygodni, a takie to mądre; mnie samej nie



przyszedłby podobny koncept do głowy. Żeby też żuki do góry nogami poprzewracać! No, już teraz przynajmniej mogę być spokojna, że nie uciekną.

## II.

W tym czasie, gdy ciocia zięba przygotowywała wszystko do uczyty weselnej, państwo młodzi w gronie najznakomitszych gości udali się do pewnego ustroonia leśnego, gdzie się ślub miał odbyć.

Wszystkie ptaszki należące do orszaku od samego rana zajęte były swoim strojem, każde piórko musiało być starannie wygładzone, ażeby pięknie błyszczało na słońcu.

Pan młody, ładny i żwawy samczyk zięba, przybył najwcześniej na miejsce umówione w towarzystwie swoich družbów i przyjaciół. Panie się troszkę spóźniły, wreszcie miły świergot zwiastował przybycie panny młodej otoczonej licznym orszakami. Wszyscy usadowili się na gałązkach. Uroczysta cisza panowała dookoła, tylko gdzieniegdzie pomiędzy liśćmi słyhać było szmer zlatujących się ciekawych widzów i przygłuszone ich szepty.





— Patrzcież państwo, jaki to świetny los trafił się temu młodemu sierocie — mówiła gadatliwa sroka — kto by się spodziewał, że weźmie pannę z takiego domu. Ale cóż to znów panna młoda takie minki stroi? Te zięby niepospolite mają o sobie wyobrażenie; uważają się za coś lepszego od innych ptaków, a przecież tak samo lizskami się żywią jak i my wszyscy. Prawda, że żadna z nich nie dotknie za nic w świecie kosmatej liszki. „Czy to my kukułki?“ powiadają.

Przybycie kosa, który miał dopełnić obrzędu ślubu, przerwało te szepty; wszyscy się uciszyli, a państwo młodzi usiedli przy sobie na zielonej gałązce. Kos obejrzał się na wszystkie strony, próbował głosu, potem usiadł naprzeciw państwa młodych i jednym tchem wygwizdał mowę następującą:

— Kochane dzieci! W tym dniu uroczystym zgromadziliśmy się tu wszyscy, aby okazać życzliwość naszą zasłużonej rodzinie zięb; pozwólcież tedy, aby stary i doświadczony kos udzielił wam rad swoich na przyszłość. Życie ptaków nie zawsze jest wolne od przykrości i niebezpie-



czeństw, chociaż przyznać trzeba, że Bóg dobry obdarzył nas więcej od innych swoich stworzeń dodając nam skrzydła. Pomyślcie tylko, mili słuchacze, jaki to smutny los być musi chodzić ciągle po ziemi tak jak ludzie lub zwierzęta.

Tu mówca umilkł na chwilę, a wszystkie ptaszęta potrząsały główkami na znak potwierdzenia. Kos mówił dalej:

— Moje drogie zięby, jako kos, nie mogę wam dawać żadnych rad dotyczących się urządzenia gniazdeczka, bo wiadomo powszechnie, iż zięby w wysokim stopniu posiadają sztukę budownictwa, a gniazdeczka ich nadzwyczaj są kunsztowne. Ja wam tylko zalecam gorąco, abyście bardzo troskliwie strzegły waszych jajek. Nieraz, gdy słońeczko przygrzeje, rodzice korzystają z tego, wylatują razem i jajka zostawiają bez opieki. Ale pamiętajcie, że kukułka na to tylko czyha; jak tylko spostrzeże takie opuszczone gniazdko, zaraz tam wkłada swoje jajko. Wielka to jest próżniaczka, bo któż jej broni własne gniazdeczko urządzić?

Otóż trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że nie ma strasniejszego nieszczęścia



dla rodziny ptasiej jak jajko kukulki. Wychodzi z niego mały żarłok, który pochłania wszystko, co rodzice dla swoich piskląt przynoszą. Ten przybłęda jest duży, gruby, bardzo wiele miejsca potrzebuje, a gdy mu za ciasno, wyrzuca biedne pisklęta z gniazda i sam się w nim wygodnie rozsiada.

Takie to właśnie nieszczęście spotkało naszego dzisiejszego pana młodego. Rodzice jego wyhodowali w swoim gniazdku kukulkę, a ta rodzone ich dziecko wypchnęła z niego w czasie nieobecności rodziców. Zaczyna raszka ulitowała się nad sierotą i wychowała go razem z własnymi dziećmi.

Skromna raszka spuściła oczy, słysząc tę pochwałę, a kos mówił dalej:

— Ta miłosierna opiekunka sieroty zasłużyła sobie na uwielbienie całego ptasiego rodu i powinniśmy jej złożyć hołd publiczny, a nie tylko jej, lecz wszystkim raszkom, gdyż wiadomo, że ptaki te często spełniają takie dobroczynne uczynki.

Ptaki kiwały głowami potakując, a kos po krótkim milczeniu mówił znowu:

— Nie dziwcie się, że tak wiele o tym



mówię; nikt lepiej ode mnie nie zna niecnym sprawek kukułki, gdyż ja sam byłem ofiarą jej niegodziwości. Pamiętam doskonale obce pisklę, które się wychowało w naszym gnieździe. Było dwa razy większe ode mnie, a jakie brzydkie! Moja mateczka była przekonana, że to jej syn rodzony i bardzo się nim pyszniła. Nieraz słyszałem, jak mówiła do ojca: — Z tego pisklęcia wyrośnie znakomity kos, niepodobny do reszty naszej dziatwy.

W tym miała słusność biedna matka: żarłok zjadał wszystko, co rodzice przynieśli dla nas, a w końcu obu nas z moim braciszkiem wyrzucił z gniazda.

Gniazdzka kosów są zwykle nisko budowane i może byśmy potrafili byli podlecieć i powrócić do naszego mieszkania, ale w tej chwili przechodził tamtędy młody chłopak i podniósł nas obu z ziemi. Braciszek mój, który się skaleczył padając, zginął zaraz nazajutrz, a ja, dziś stary, poważny kos, powszechnie szanowany, nigdy byście nie odgadli, gdzie spędziłem młodość moją.

— W koszu od warzywa — gwizdnął





w tej chwili młodziutki kos siedzący na pobliskiej gałęzce.

— Tak, syn mój prawdę powiedział — mówił stary — chociaż nie powinien był ojcu przerywać. Zamknięto mnie w próżnym koszu od warzywa. O, matki! czuwajcie troskliwie nad pisklętami waszymi, aby ich nie spotkał taki los straszliwy, aby nie były nigdy pozbawione swobody i zamknięte w starych koszach!

Kos nie mógł mówić dalej. Smutne to wspomnienie tak go wzruszyło, że mu głosu zabrakło; otarł łzę, która się stoczyła na jego dzióbek.

Słuchacze drżeli z przerażenia i spoglądali na wszystkie strony, jak gdyby się lękali, aby straszny kosz od warzywa nie ukazał się nagle przed ich oczyma, chociaż żadne z obecnych ptasząt, oprócz starego kosa, nie wiedziało nawet, jak taki koszt wygląda.

Ochłonawszy nieco ze wzruszenia kos tak opowiadał dalej dzieje swego życia:

— Nie mogę się skarżyć na chłopaka, który mnie zabrał do siebie! Jeżeli mi nie kupił porządnej, wygodnej klatki, to tylko dlatego, że nie miał na to pieniędzy.



Karmił mię, jak mógł najlepiej; pierwszego dnia dał mi trochę chleba rozmoczonego w mleku, ale mi to jedzenie nie służyło i zachorowałem. Wtenczas starszy jakiś człowiek poradził chłopcu, żeby mi dawał mięso, i było mi z tym znacznie lepiej. Czasem przynosił mi parę owadów, ale rzadko kiedy. Ach, cóżbym dał był za to, żeby choć raz pokosztować tych wybornych owadków, które mi mateczka przynosiła! Przetrwiałem jakoś to wszystko, musiałem być silnej bardzo budowy, ale i teraz choruję na żołądek, a ile razy przełknę parę większych owadów, łapki ich stają mi w gardle i o mało mnie nie udławiają.

Tymczasem długa przemowa kosa znudziła trochę towarzystwo; pliszka zaczęła poziewać, sąsiad jej dudek także roztwierał dziób raz po raz, i wkrótce poziewanie udzieliło się wszystkim ptakom.

— Znudzili się — pomyślał — a jednak opowiadałem im takie ciekawe rzeczy i tyle bym miał jeszcze do opowiadania.

Kos nie rozumiał, że nigdy nie trzeba za dużo mówić o sobie.

W tej samej chwili, gdy nastąpiło to





chwilowe milczenie, dzięcioł, który zapewne był bez śniadania, zaczął bić dziobem w drzewo szukając w nim owadów. Całe zgromadzenie spojrzało na niego ze zdziwieniem, bo też to było postępowanie bardzo niewłaściwe w tak uroczystej chwili.

— Trzeba już kończyć — pomyślał kos, a głośno powiedział:

— Szanowni słuchacze, przepraszam was, że tak długo mówiłem o sobie, czym was trochę znudziłem. A teraz życzę państwu młodym wszelkich pomyślności i wszystkim wesołej zabawy.

Zeskoczył ze swojej gałązki i zbliżył się do młodej pary.

Młodzietki kos, syn jego, przyleciał wówczas niosąc w dzióbku kwiateczek konwalii rosą napełniony. Stary kos wziął ten śliczny dzbanuszek i podał go państwu młodym mówiąc:

Bądźcie złączeni!  
Niech nic nie odmieni  
Waszej wierności  
i w pomyślności  
I w troskach życia;  
Tylko cnotliwi  
Będą szczęśliwi.



Kos sam skomponował te piękne wiersze i wygwizdał je z takim uczuciem, że wszystkie samiczki były niezmiernie wzruszone; niektóre nawet lzy ocierały ukradkiem.

Państwo młodzi umoczyli dzióbki w ślicznym białym dzbanuszkę i wypili po kropelce rosy. Taki jest obrzęd zaślubin ptaszków. Wszyscy otoczyli młodą parę, winszowali jej i życzyli pomyślności. Kilka ptaków zbliżyło się do młodego kosa podziwiając jego powagę i uroczystą minę.

— Niezadługo i on potrafi tak pięknie przemawiać jak ojciec — rzekła pliszka.

— Oho! jeszcze jest za młody — odezwał się szczygieł — poczekajmy ze trzy lata, aż dorośnie i będzie miał żółty dziób tak jak ojciec.

Wesołe towarzystwo odleciało gromadnie do sąsiedniego gaju, gdzie stryj panny młodej czekał na wszystkich ze śniadaniem.

### III.

Wspaniała uczta weselna miała się odbyć wieczorem! O zachodzie słońca wszy-



stkie przygotowania były ukończone, a gdy zmierzch zapadł, ciocia-zięba pofrunęła w krzaki i po chwili powróciła trzymając w dzióbku robaczka świętojańskiego. Położyła go na siatce pajęczej rozciągniętej na gałęziach, przyniosła tym sposobem osiem innych robaczek i ułożyła z nich przepyszną gwiazdę.

— O! co za śliczności! — wołały małe gile i raszki.

Ciocia odlatywała raz po raz w krzaki i ułożyła aż osiem gwiazd podobnych do koła pnia, na którym uczta odbyć się miała. Potem ustawiła szereg błyszczących robaczek wzdłuż pnia, żeby gościom było widno.

Dwie zięby, pomocnice cioci, odleciały trochę, żeby zobaczyć, jak wygląda iluminacja z daleka i wykrzyknęły z podziwu. Widok był czarujący.

— Nigdy w życiu nic podobnie pięknego nie widziałam! — mówi jedna.

— Długo będą rozповідаć o tym weselu w lesie! — dodała druga.

Na koniec wszystko było gotowe, czekano tylko na gości.

— A teraz, moje dzieci — mówiła cio-



cia-zięba do piskląt — dziękuję wam bardzo za pomoc. Wracajcie do gniazdek, bo już późno. Przyjdźcie jutro rano, schowam dla was trochę przysmaków z wieczery.

— Dziękuję cioci — wołał mały gil, który jednak nie bardzo się spuszczał na to, co nazajutrz dostanie, ale zawczasu pozjadał drobniejsze owadki, przy których stał na straży.

— Dziękujemy, dziękujemy — mówiły dwie małe raszki, a jedna chwyciła zgrabnie małego robaczka świętojańskiego i prędziutko z nim odleciała. Swawolnica chciała sobie zrobić małą iluminację w gniazdeczku.

A wtem wśród ciszy wieczornej dał się słyszeć szum skrzydeł i nadleciała gromadka weselnych gości. Toż dopiero rozpoczęły się wykrzykniki, uniesienia radości i zachwyty bez końca. Ciocia-zięba rosła jak na drożdżach, tak ją wszyscy wychwalali i podziwiali jej dowcip i gust wytworny.

— Przepyszny! wspaniały widok! — mówił szpak. — Ja dużo świata zwiedziłem, co rok bywam w Egipcie, ale nigdzie



nie widziałem tak pięknej iluminacji. Prawdziwie powinszować pani potrzeba tak wybornego pomysłu.

Ciocia prosiła gości, by jak najspieszniej zasiadali do stołu, bo w ciągłej była obawie, ażeby owady się nie porozbiegały.

Chciano dzięcioła posadzić na pierwszym miejscu, na samym końcu pnia, ale się tłumaczył, że ma ogon za sztywny i nie może usiąść na płaskim miejscu, więc usadowił się na pobliskiej gałązce. Zwrócono się więc do dudka, ale ten swoim zwyczajem zaczął się kłaniać na wszystkie strony.

— Proszę już zostawić te ceremonie— mówiła ciocia zniecierpliwiona — i zabrać się do jedzenia, bo i tak mieliśmy tu dosyć kłopotu z tymi dużymi owadami.

Dudkowi nie podobała się ta mowa, więc czubek spuścił na grzbiet, co było oznaką niezadowolenia. Nie zważano jednak na to i uczta rozpoczęła się bardzo wesoło.

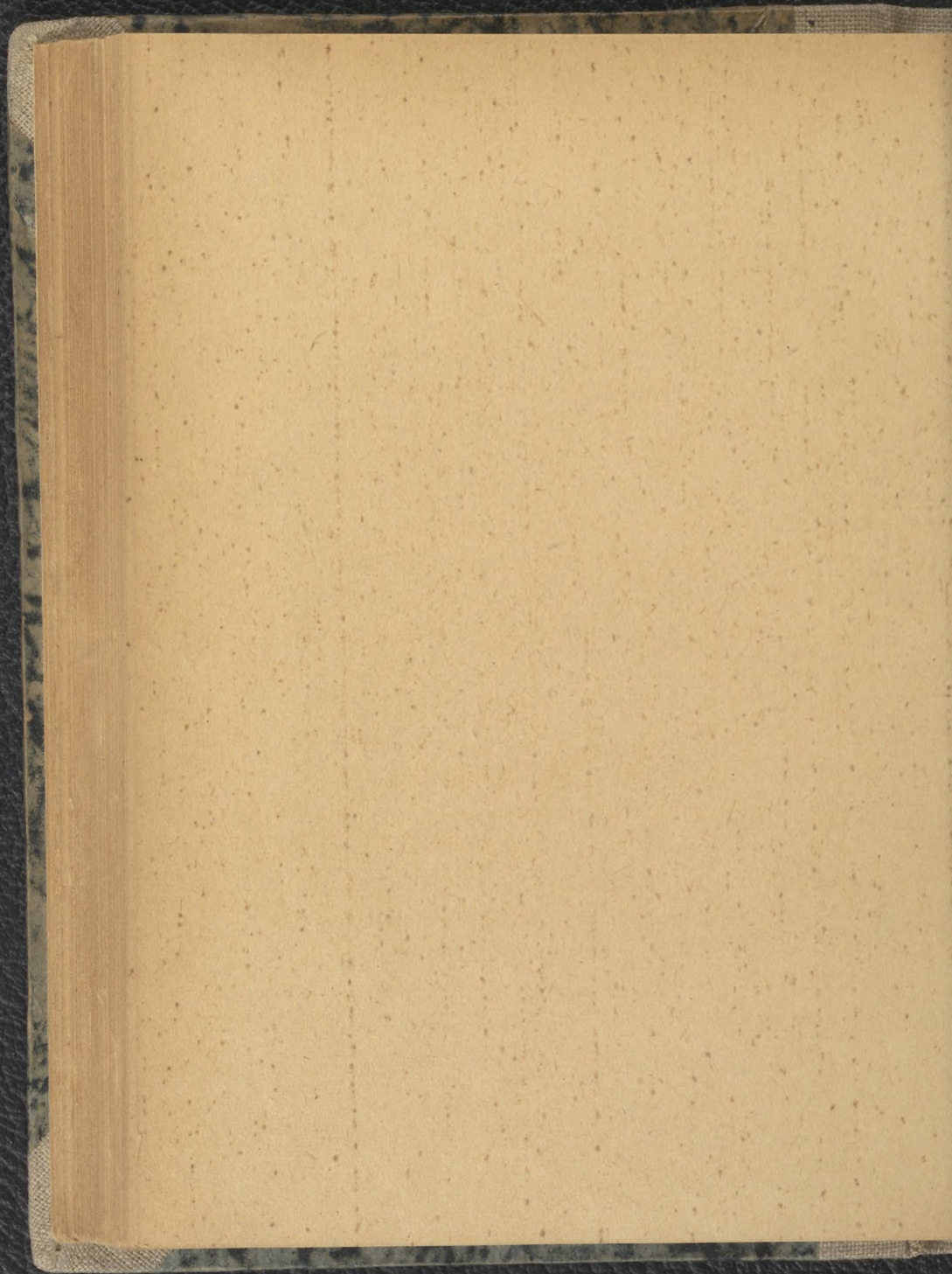
— Wyborna jest sobie ta ciocia-zięba— mówił dudek do szpaka, swego sąsiada — zamiast mi podziękować, że sam nałapa-





— Przepyszny! wspaniały widok! — mówił szpak.







łem zwierzyny, żebym nie był głodny, ona mię jeszcze rozumu będzie uczyła.

Mówiąc to uderzył łapką chrabąszcza tak silnie, że mu aż skrzydła odleciały, potem podrzucił go zgrabnie w górę i złapał dzióbem w powietrzu. Wszystkie ptaki podziwiały zręczność dudka. Żaden nie potrafiłby takiej sztuki dokonać.

A on chcąc się popisać przed towarzystwem coraz wyżej podrzucał owady; wtem, na nieszczęście, tak nieostrożnie cisnął w górę dużego żuka, że ten spadł na głowę małej pokrzywki, która się przeleżała i zemdląła.

— Wody, wody!—wołał jej mąż. Któryś ptak chwycił miseczkę żołądziową z wodą, wylał na pokrzywkę, a ta po chwili przysła do siebie.

— Bardzo przepraszam — rzekł dudek zakłopotany — ale przypadek każdemu trafić się może. — Potem dodał sam do siebie: — Niepotrzebnie przybyłem na tę ucztę. Z tym długim moim dzióbem, to kłopot prawdziwy: nie mogę jeść tak, jak wszyscy, a to rzecz nieprzyjemna w towarzystwie.

To zdarzenie wszystkim jakoś humor



popsuło. Dopiero szpak rozweselił całe zgromadzenie udając głosy różnych ptaków. Naśladował wybornie srokę, kuropatwę, kurę domową, na koniec wykrzyknął na całe gardło:

— Łobuz! łobuz!

Wykrzyknik ten wymierzony był przeciw młodemu ptaszкови, który siedział na gałęzce ponad głową szpaka i rzucił na niego parę okruszyn kory. Śmiech powstał powszechny, a pliszka zapytała:

— Ale skądże się pan nauczył mowy ludzkiej?

— O, to długa historia — odpowiedział szpak — kos spędził młodość w koszu od warzywa, a ja żyłem przez dwa lata w klatce zawieszanej nad drzwiami sklepu pewnego szewca. Szewc ten miał zwyczaj wołać tak na swoich chłopaków i na małych uliczników, którzy mu dokuczali. Stąd nauczyłem się wymawiać ten wyraz i powtarzałem go raz po raz. Koło sklepu przechodził często jakiś jegomość, a słysząc wołanie „łobuz!“, strasznie się gniewał i pięściami mi groził. To mnie tak bawiło, że ile razy go spostrzegłem,



zaraz krzyczałem jak tylko mogłem najgłośniej: łobuz! łobuz!

Dnia pewnego szewca nie było w domu, a jegomość ów tak się rozzłościł, że przyskoczył do mojej klatki, otworzył drzwiczki i chciał mnie zapewne udusić.

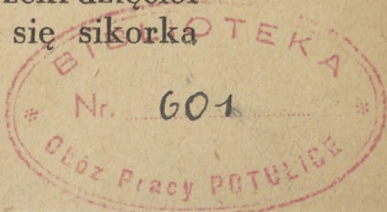
Ale, nim zdołał mnie pochwycić niezgrabną swoją łapą, ja się wymknąłem z klatki i usiadłszy na pobliskiej latarni zawołałem na całe gardło: łobuz! łobuz! i pofrunąłem dalej. Tym sposobem odzyskałem swobodę.

— Czemu pan tak mało je? — rzekła sikorka do dzięcioła, który naprzeciw niej siedział.

— Nie smakują mi te mrówki — odpowiedział dzięcioł — bo wszystkie prawie nieżywe, niektóre nawet bez głów. Lubię tylko świeże owady, a takich jeść nie mogę.

— Ja tu mam świeżuteńkie, żywe muszki — mówiła uprzejmie sikorka — a sama już dosyć jadłam. Proszę sobie wybrać, co się podoba.

— O, bardzo dziękuję — rzekł dzięcioł i wyciągnął długi język, aż się sikorka nastraszyła i cofnęła w tył.





— Co za język! — krzyknęła — nigdy w życiu nic podobnego nie widziałam... Prawda, że nie miałam bliskich stosunków z dziećmi.

— Mrówki jednak nie boją się wcale mego języka — mówił dzięcioł śmiejąc się. — Gdy go wyciągnę ponad mrowskim, same przybiegają i włożą na niego, bo mój język jest lepki, a im się to podoba. Ja czekam cichuteńko i, gdy już mnie porządnie obsiądą, paf! wciągam język i połykam wszystkie mrówki; takie jest przy tym przyjemne łechtanie po gardle! O, ja to bardzo lubię!

— Ale biedne mrówki nie bardzo to muszą lubić — mówiła sikorka. — A to prawdziwa niespodzianka dla nich.

— Ja ich przecież nie zmuszam i nie namawiam — rzekł dzięcioł — same włożą dobrowolnie. Któż im winien? Ech, wierzaj mi, pani, mrówki są na to umyślnie stworzone, żeby je dzięcioły pożerały. Mój długi język widocznie przeznaczony jest do tego, aby je przywabiał.

— Zawsze to okrucieństwo taki podstęp — mówiła sikorka.

— Jaka to pani litościwa! — rzekł zar-



to bliwie dzięcioł — sama jednak nie żałujesz sobie wcale muszek i owadów rozmaitych. Słyszałem, że nieraz pani zjada po sześćdziesiąt sztuk na dzień.

— I nigdy nie choruję na niestrawność — odrzekła śmiejąc się sikorka.

— Ale czemu pani tak późno na ucztę przybyła? — mówił znów dzięcioł. — Nie widziałem pani ani na ślubie ani na śniadaniu.

— Gdzież bym ja czas na to miała! — rzekła sikorka — nie mogę odstąpić gospodarstwa i dziatwy. A toż dziesięcioro drobiazgu ciągle na mnie woła w gniazdeczku z rozdziawionymi dzióbkami. Trzebaż to wszystko nakarmić. Co to ja muszę liszek nałapać przez cały dzień! Ten wieśniak, co ma sad niedaleko naszego lasu, powinien mi być wdzięczny: jeżeli mu w tym roku pięknie obrodzą owoce, to mnie się w znacznej części będzie należało. Gdybym była nie wyłapała wcześniej z wiosną robactwa, co się tam w owocowych drzewach gnieździło, byłoby mu pożarło wszystkie pączki liści i kwiatów.

— Ba! on tego nawet nie rozumie —



odezwiała się pliszka — bo gdyby umiał cenić to, co my dla niego robimy, nie pozwalałby dzieciom rabować naszych gniazd i piskląt z nich wybierać.

Wczoraj na przykład przelatując obok niskiego krzaka usłyszałam żalosne wołanie: „O, moje dzieci, moje biedne dzieci! Cóż się z wami stanie! Zginiecie z głodu u tych drapieżników!“

Zatrzymałam się i ujrzałam w głębi krzaka parę pokrzywek siedzących w próżnym gniazdku. Serce mi się krajało, gdym patrzyła na nie.

— Niegodziwy chłopak zabrał nam pisklęta — rzekł ojciec.

— Takie były prześliczne — dodała matka — już miały wołać: tato i mamó.

— To straszna rzecz! — zawołała si-korka i zadrzała od stóp do głowy. — By-wajcie zdrowi, moi państwo, muszę lecieć do mojej ukochanej dziatwy. Chociaż mój mąż tam został w gniazdeczku i do-brze ich pilnuje w mojej nieobecności, niespokojna jestem, czy im się co nie stało.

— Dziewczątka nie są nigdy takie okrutne jak chłopcy—rzekł młody trzna-



del. — Ja także w dzieciństwie miałem okropny wypadek: wypadłem z gniazodka. Mała dziewczynka mnie podniosła, a nie mogąc odszukać moich rodziców zabrała mnie do swojego domu i opiekowała się mną tak troskliwie jak prawdziwa mateczka. Nikomu nie pozwoliła mnie dotykać, sama mi zawsze jeść dawała, a gdy który z braciszków jej zbliżał się do mnie, musiał rączki trzymać w tyle. Nawet mnie w klatce nie zamykała. Latałem sobie swobodnie po pokoju, ze wszystkimi się spoufaliłem, w czasie obiadu skakałem po stole jadalnym, piłem czasem ze szklanki ojca mojej małej pani, a wiadomo, że u ludzi ojcowie zawsze są poważni i surowo wyglądają. Spałem w łóżeczku lalki.

— Co to jest takiego lalka? — zapytała pliszka.

— Ja sam dobrze nie wiem, co to takiego — mówił trznadel — jakieś malutkie dzieciątko, co się nie rusza i nie mówi. Dziewczynki się tym bawią.

— To chyba nieżywe jakieś dziecko? — mówiła młodziutka pliszka. — Jakże to można bawić się nieżywym dzieckiem?



— Nie rozumiesz tego — rzekła starsza pliszka — nie trzeba nigdy rozprawiać o tym, czego się nie rozumie.

Trznadel opowiadał dalej:

— Żywiono mnie w tym domu i pielęgnowano, póki nie podrosłem, potem mnie wypuszczono na swobodę.

— Cóż to za poczciwi ludzie! — zawołał kos. — A czy ich nigdy odtąd nie widziałeś?

— I owszem — rzekł trznadel.—Gdyśmy się z moją małą panią żegnali, spostrzegłem, że miała łezki w oczkach.

— Bądź zdrow, kochaneczku—powiedziała do mnie — żal mi ciebie bardzo, ale wiem, że ptaszęta lubią swobodę, a ja ciebie kocham i chcę, żebyś był szczęśliwy.

Byłem wzruszony, a jednak pofrunąłem z wielką radością, bo nieraz już tęskniłem za światem Bożym, choć mi i tam było dobrze.

Zapoznałem się zaraz z różnymi ptakami w gaju i bawiłem się wybornie przez cały dzień. Ale wieczorem, gdy mnie sen morzyć zaczął, przypomniałem sobie tę dobrą dziewczynkę, moją małą panią, i wygodne łóżeczko. Więc niewiele my-



śląc pofrunąłem prosto do tego domu i przez otwarte okno wpadłem do pokoju. O, cóż to była za radość! Jak mnie serdecznie witano! Kochana dziewczynka skakała, śmiała się i klaskała w rączki. Nazajutrz odleciałem znowu po śniadaniu, na noc powróciłem i dotąd co wieczór powracam do mojej pani. Bardzo mi z tym dobrze i wygodnie.

— Już ja bym nie miała odwagi zbliżyć się dobrowolnie do ludzi — rzekła pilszka potrząsając ogonkiem.

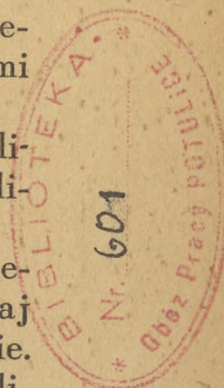
— A jednak nie taka to pani jesteś nieśmiała — odezwał się kos — sam wczoraj widziałem, jak usiadłaś na rogach krowie.

— O! to wcale co innego — rzekła pilszka — krowa nie ma najmniejszej ochoty mnie łapać, ona bardzo rada, że ja wybieram z jej sierści owady i pastuch za to mnie lubi, a mogę sobie w każdej chwili odlecieć.

#### IV.

Tymczasem na drugim końcu stołu toczyła się ożywiona rozmowa pomiędzy ptakami.

— Nie rozumiem — mówił kos — dla-





czego ja jestem cały czarny, a szczygieł tak ładnie pstrokato zabarwiony?

— Jakto, nie wiesz tego? — odrzekł szczygieł — a toż jest o tym dawne podanie, opowiadała mi je babunia moja, która dużo świata widziała i słyszała je gdzieś za granicą.

— A to musi być ciekawa rzecz! — wołały wszystkie ptaki.

— Nie wiem. ja z pewnością, czy to prawda — mówił szczygieł — ale powtórzę wam, co opowiadała babunia.

Gdy Pan Bóg stworzył ptaszki, ulepił je z gliny i wszystkie były szare jak glina. Wtenczas Pan Bóg zawołał małego aniołka i rozkazał mu, ażeby ptaki pomalował.

Aniołek poustawiał je wszystkie na dużym stole, przyniósł kilkanaście miseczek z różnymi farbami i tyleż małych pędzelków.

Najpierw pomalował czarną farbą kosa, białą gołąbka, żółtą kanarka i tak malował aniołek wszystkie ptaki jednokolorowe. Potem obejrzał je i pomyślał, że ładniej będzie dawać po dwa kolory, więc



pomalował srokę, wilgę, zielonego dzięcioła i raszkę.

„A teraz spróbujemy trzech kolorów“ — pomyślał aniołek i ujrzawszy ptaka o długim dzióbku pomalował go na orzechowo z czarnymi i białymi ozdobami.

— To był mój pra-pra-dziadek! — zawołał dudek.

Aniołek nie bardzo był jednak zadowolony ze swej roboty, chciał spróbować jaskrawych kolorów, więc wziął się do innego ptaszka; pomalował mu brzuszek i podgardle przepyszną barwą czerwoną, czapeczkę czarną i porobił łatki czarne na skrzydełkach i na ogonku.

— To gil! gil! — wołały ptaszki chórem.

— No, ten mi się udał — rzekł aniołek. Ślicznie wyglądasz, mój ptaszku, i powinienbyś być z siebie zadowolony.

— Byłbym zadowolony — odpowiedział gil — gdybym tylko...

— Czegóż chcesz jeszcze? — przerwał aniołek.

— Nic nie chcę — rzekł gil — tylko dziób mam taki gruby i niezgrabny.



— Sam nie wiesz, co mówisz — powiedział aniołek — przekonasz się jedząc twarde ziarna i owady o rogowych pokrywach, że taki dziób jest wyborny do rozgniataania tych pokarmów.

Gdy już ptaszki były pomalowane, aniołek klasnął w rączki i wszystkie rozleciały się w różne strony świata. Chciał pochować farby i pędzelki, gdy spostrzegł na stole pomiędzy miseczkami małego szarego ptaszka.

— Ach! zapomniałem o tobie — zawołał.

— A tak — rzekł ptaszek nieśmiało.

— Co tu robić? — powiedział aniołek — wszystkie farby mi wyszły, będziesz już chyba taki szary.

— Ależ ja niezbyt jestem duży — mówił ptaszek — może tu zostało choć troszeczkę farb w miseczkach. Dla mnie jednego tak niewiele potrzeba!

— No, no, spróbujemy — rzekł mały malarz. Nabrał na pędzelek odrobinę brunatnej farby, która na dnie miseczki została i pomalował grzbiecik ptaszka; na brzuszku zabrakło tej farby, ale znalazło się troszkę białej w drugiej miseczce. Po-



tem aniołek wziął resztkę farby czarnej i pomalował końce skrzydeł, ogona i zrobił mu czarną łatkę na główce.

— A czy nie ma tam choć troszeczkę czerwonej farby? — zapytał ptaszek, bo wszystkie te kolory wydawały mu się trochę smutne.

— Nie, czerwonej już zabrakło — rzekł aniołek.

— Jaka szkoda — westchnął ptaszek; zaczął szukać pomiędzy miseczkami i wnet wykrzyknął: — O! tu na stole jest kropelka, będzie przynajmniej łatka czerwona koło dzióbka. A co! zaraz ładniej wyglądam. Żebyż jeszcze choć odrobinka żółtej farby! Oho! znalazłem, znalazłem!

I naprawdę troszeczkę żółtej farby pociekło było z miseczki na stół i ptaszek sam sobie nią posmarował skrzydełka.

Figlarzu mały — rzekł aniołek — będziesz ty ładniejszy od tamtych wszystkich. Poczekaj, mam jeszcze troszkę białej farby, porobię ci centki w różnych miejscach. No, teraz prześlicznie wyglądasz, lećże sobie w świat.



— A co ja będę jadł? — pytał ptaszek.

— Poczekaj — rzekł aniołek — ja ci pokażę roślinkę, którą wszyscy pogardzą i nazwą ją chwastem; ona jednak ma smaczne i zdrowe ziarnka, a ty je będziesz zajadał — i aniołek wskazał ptaszкови krzaczek ostu.

— Otóż to był właśnie mój pradziadek — dokończył szczygieł — ja także jadam ziarnka ostu, to moja ulubiona potrawa.

— A to śliczna bajeczka! — mówiły wszystkie ptaszki.

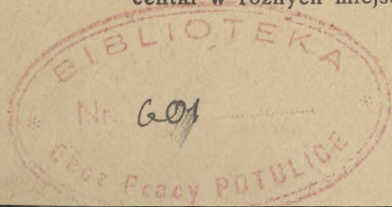
Jeden tylko szpak nie bardzo uważnie słuchał opowiadania szczygła; z nadzwyczajnym zajęciem przypatrywał się iluminacji, a chociaż uczta była bardzo obfita i nie brakło mu najwyszukańszych przysmaków, jego ciągle korciło, żeby pokosztować choć jednego robaczka świętojańskiego. Ponieważ nikt się do nich nie brał, więc nie śmiał zaczynać pierwszy, ale miał nadzieję, że je na deser podadzą. Tymczasem skończył się i deser, a świętojańskich robaczków nie podawano.

Goście zaczęli się zabawiać to śpiewem, to deklamacją. Szczygiełek zakoń-

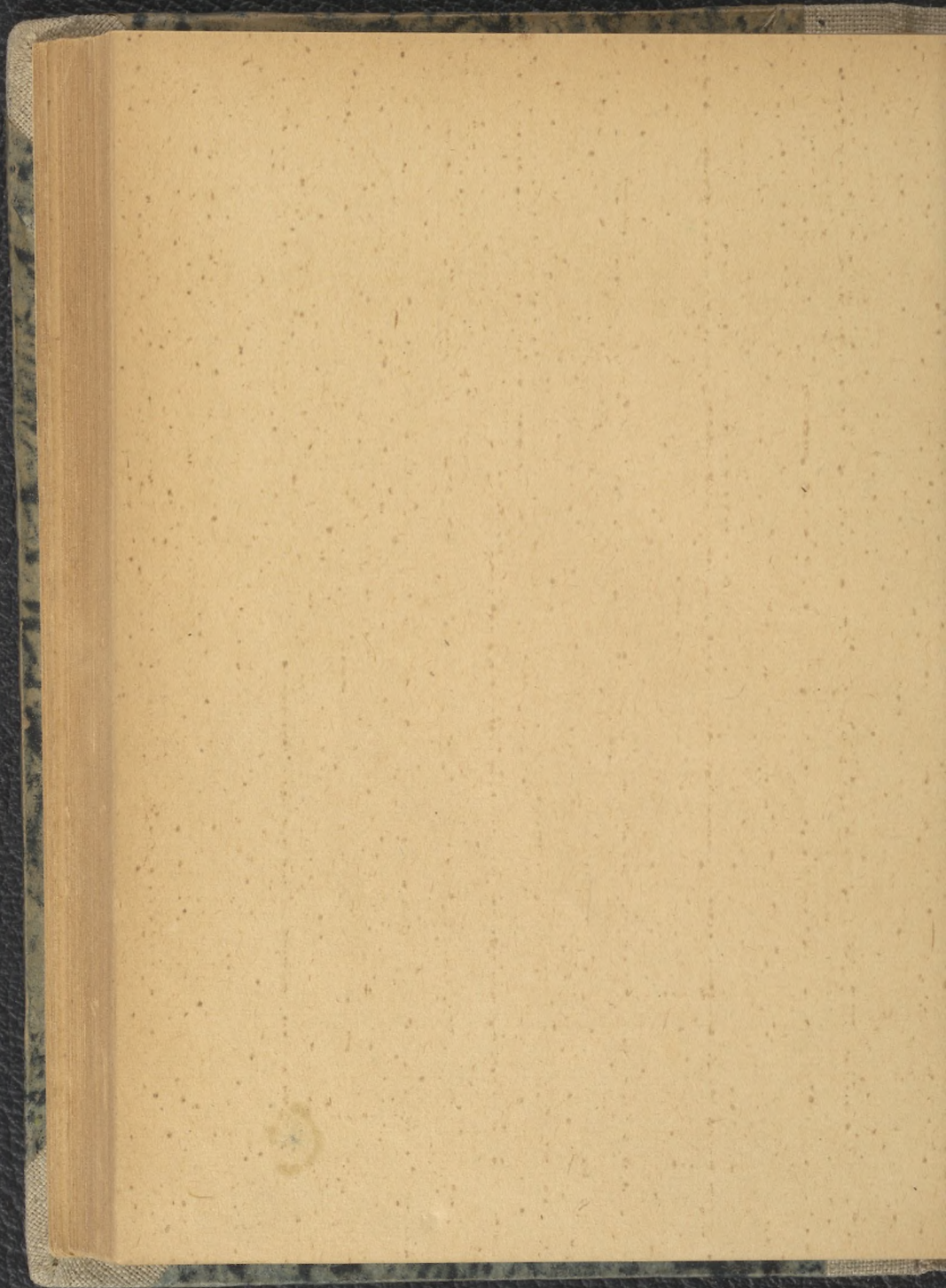




Poczekaj, mam jeszcze trochę białej farby, porobię ci centki w różnych miejscach.









czył właśnie prześliczną piosenkę i wszyscy mu dziękowali. Nasz szpak nie mógł się powstrzymać i korzystając z zamieszania, w mniemaniu, że nikt go nie spostrzeże, chwycił jednego błyszczącego robaczka i prędko go połknął. Nikt rzeczywiście z błyszczącej drużyny tego nie spostrzegł, ale po chwili najwspanialsza gwiazda zawieszona na pajęczej siatce nagle zagasła.

Stara ciocia-zięba zaraz to zobaczyła i pofrunęła dowiedzieć się, co się to dzieje. Wszystkie robaczki były już w trawie i uciekały co żywo niezmiernie oburzone.

— Jak to — rzekł najstarszy — my wam urządzamy taką świetną iluminację, a wy pozwalacie gościom nas pożerać jak najzwyczajniejsze owady!

Ciocia była w rozpacz. Nie wiedziała, co począć. Domyśliła się, że to sprawka szpaka, ale nie śmiała mu robić wyrzutów. Żeby jednak naprawić rzecz o ile możliwości, szepnęła słówko panu młodemu, a ten dał znak towarzystwu, że ma coś ważnego do powiedzenia. Gdy wszyscy się uciszyli, on tak mówił:



— Szanowni goście! Dzień dzisiejszy jest najpiękniejszym dniem mego życia. Nie wiem, czy wszyscy tak myślą jak ja; gdy jestem wesół i szczęśliwy, chciałbym zaraz spełnić jakiś dobry uczynek, żeby i inni radowali się razem ze mną.

Otóż, goście moi mili, uczynmy wszyscy dobry uczynek. Gromadka robaczków świętojańskich przyczyniła się nie mało do uświetnienia mego wesela. Wiem, że niektóre ptaki, bez żadnego względu dla tych miłych owadów, chrupią je w najlepsze. Ale ja was dziś proszę za nimi; na pamiątkę mego wesela darujcie im życie, nie pożerajcie ich nigdy. Piję zdrowie robaczków świętojańskich.

— Zdrowie robaczków świętojańskich!  
— powtórzyły chórem wszystkie ptaki.—  
Niech żyją, niech błyszczą!

W tej chwili wszystkie robaczki zająśniały żywym światłem. Widocznie pogasły były ze strachu, żeby ich wszystkich nie pożarto.

Po załatwieniu tej sprawy znowu całe towarzystwo bawiło się bardzo wesoło. Śpiewy i tańce trwały do późna w noc.



Gil odśpiewawszy swoją zwyczajną piosenkę zanucił polkę, którą słyszał kiedyś w mieście. Wszystkie ptaszki w takt podskakiwały, a stara ciocia-zięba niegorzej od młodszych wywijała.

A wtem nagle ustały tańce, ucichli wszyscy i zaczęli nadśłuchiwać. Głos dźwięczny i czysty rozległ się po lesie. Któż nie zna śpiewu słowika? On nie był na weselu, bo słowik nie lubi gwarnych zabaw, ale życzliwy jest bardzo dla rodziny zięb i chciał wyśpiewać piękną serenadę na cześć państwa młodych.

Cudne tony płyną wśród ciszy nocnej, ptaszęta zachwycone rozlatują się po lesie, szukają dogodniejszego miejsca, ażeby lepiej słyszeć, każde sadowi się na gałęzi i ukołysane prześlicznym śpiewem jedne po drugich usypiają spokojnie.

Ciocia-zięba darmo wygląda powrotu gości, w końcu sama chowa główkę pod skrzydełko i usypia.

Tak się zakończyło wesele, ale długo jeszcze rozpowiadano sobie po lesie o wspaniałej uczcie i przepysznej iluminacji.



Młoda para zabrała się dnia następnego do budowania ładnego i wygodnego gniazdeczka; wkrótce znalazły się w nim jajka i oboje rodzice pomni na przestrogi kosa troskliwie je pielęgowali, żeby czasem kukułka nie splątała im niepocziwego figla.



## O B Ł O C Z E K

— Obłoczku mój ty malutki! śliczny obłoczku biały! powiedz-no, dokąd ty tak śpieszysz? Płyniesz i płyniesz po błękiecie, uciekasz ode mnie... Poczekaj troszkę, obłoczku mały. Jak ty dziwnie wyglądasz i zmieniasz się co chwila. O! teraz taki jesteś ładniutki, zupełnie jak baranek z podniesioną główką.

Tak mówiła dziewczynka patrząc przez okno na obłoczek. A obłoczek jej odpowiedział:

— Nie mogę się zatrzymać, bo mnie wiatr porwał i unosi ze sobą.

A dziewczynka mówiła:

— Wietrzyku, mój wietrzyku, nie dmuchaj tak mocno, odpocznij sobie troszkę i pozwól obłoczкови się zatrzymać.

— Ja bym chętnie odpoczął — odpowiedział wiatr — bo bardzo jestem zmęczony! Już dziś napracowałem się nie mało. Musiałem przenosić i rozsiewać nasionka sosen i różnych innych roślin, dmuchałem w skrzydła wiatraków co



mączkę miał, wysuszyłem dużo upranej bielizny, rozwieszanej na płotach. Teraz wypłynąłem z lasu, zdyszany cały i zobaczyłem ten biały obłoczek. On sam się musi nudzić, pomyślałem i uniosłem go ze sobą, a teraz płyniemy razem.

— I gdzież ty go niesiesz, mój wietrzyku? — pyta dziewczynka, a wiatr odpowiedział:

— Czy widzisz tam daleko, gdzie słońce zachodzi, te śliczne obłoczki różowe? To są jego towarzysze, oni czekają na niego. Poniosę go aż do nich, a potem sobie odpocznę.

Słyszy to obłoczek i mówi:

— Dziękuję, dziękuję grzeczny wietrzyku, co bym ja tu robił sam jeden, gdybyś mię nie był zabrał ze sobą!

— Co ty robisz, wietrze! wołała dziewczynka — już nie ma baranka, rozwiałeś mu główkę i nóżki: o, jaka szkoda! Ale obłoczek zawsze ładniutki; teraz tak wygląda, jak ogromna kula śniegowa.

Wiatr dmucha coraz mocniej: wiu — wiu — wiu — wiu!

— A teraz jeszcze ładniejszy — woła dziewczynka klaszcząc w rączki. — Roz-



płynął się w pośrodku, po brzegach się wystrzępił, wygląda jakby jakiś duży wianek z białych kwiatów.

Wianek zwięzał się z jednej strony, potem się rozerwał, obłoczek się wydłużył, na kształt dużej ryby białej.

— Śpieszmy, śpieszmy — mówił wiatr — musimy tam dopłynąć przed nocą.

— Bywaj zdrów, wietrzyku, bywaj zdrów obłoczku! — wołała dziewczynka, jak mogła najgłośniej, bo już obłoczek był bardzo daleko.

— Do widzenia — odpowiedzieli wędrowcy i szybko odpłynęli.

Dziewczynka patrzyła długo jeszcze za obłoczkiem i widziała, jak przyplynał do tych innych, co na niego czekały i zarumienił się tak samo jak one. Potem słońce ukryło się za wzgórzem, ściemniło się na dworze, Marynia zamknęła okno i spać się położyła.

— A ja nie wiedziałam o tym — myślała sobie leżąc w łóžeczku — że wiatr tak musi pracować. Ja dziś taka byłam leniwa, tylko trzy druty zrobiłam w pończosze. Żebym ja mogła wiedzieć, co ten różowy obłoczek tam robi. Czy on tak



ciągle wędruje od rana do nocy? Ej, chyba nie, bo mama mówiła, że wszyscy na tym świecie powinni coś robić. Musi to być bardzo przyjemnie tak pływać po błękitnym niebie, dogonić słońce na zachodzie. Ach! wolałabym być małym obłoczkiem, niż ślęczeć nad tą pończochą...

I myśląc o wietrze, co tak pracuje, i o obłoczku różowym, który także musi mieć jakąś robotę, dziewczynka nasza usnęła.

Już rano. Marynia przebudziła się i wstała z łóżeczka. Poszła do okna zobaczyć czy ładna pogoda. O, nie, dziś już nie widać błękitnego nieba, przykryte całe szarymi chmurami, które wiatr coraz dalej unosi. Duże krople deszczu zaczynają padać, biją w okna z głuchym łoskotem. Jakaś dziewczynka idzie ulicą bez parasola, o, jak zmokła! Jedzie ktoś wózkiem odkrytym: i pan i woźnica nasunęli kaptury na głowy, koniki łby spuszczały, one pewnie nie lubią moknąć na deszczu.

— Ale otóż deszczyk ustaje — mówi Marynia — przydał się bardzo w ogródku, podlał dobrze moje kwiateczki. Trze-



ba pójść zobaczyć, czy bratki popodnosiły główki.

— Dzień dobry! dzień dobry! dzień dobry! — odzywają się z różnych stron głosiki cienkie.

— A to kto mnie woła? — pyta Marynia oglądając się dokoła.

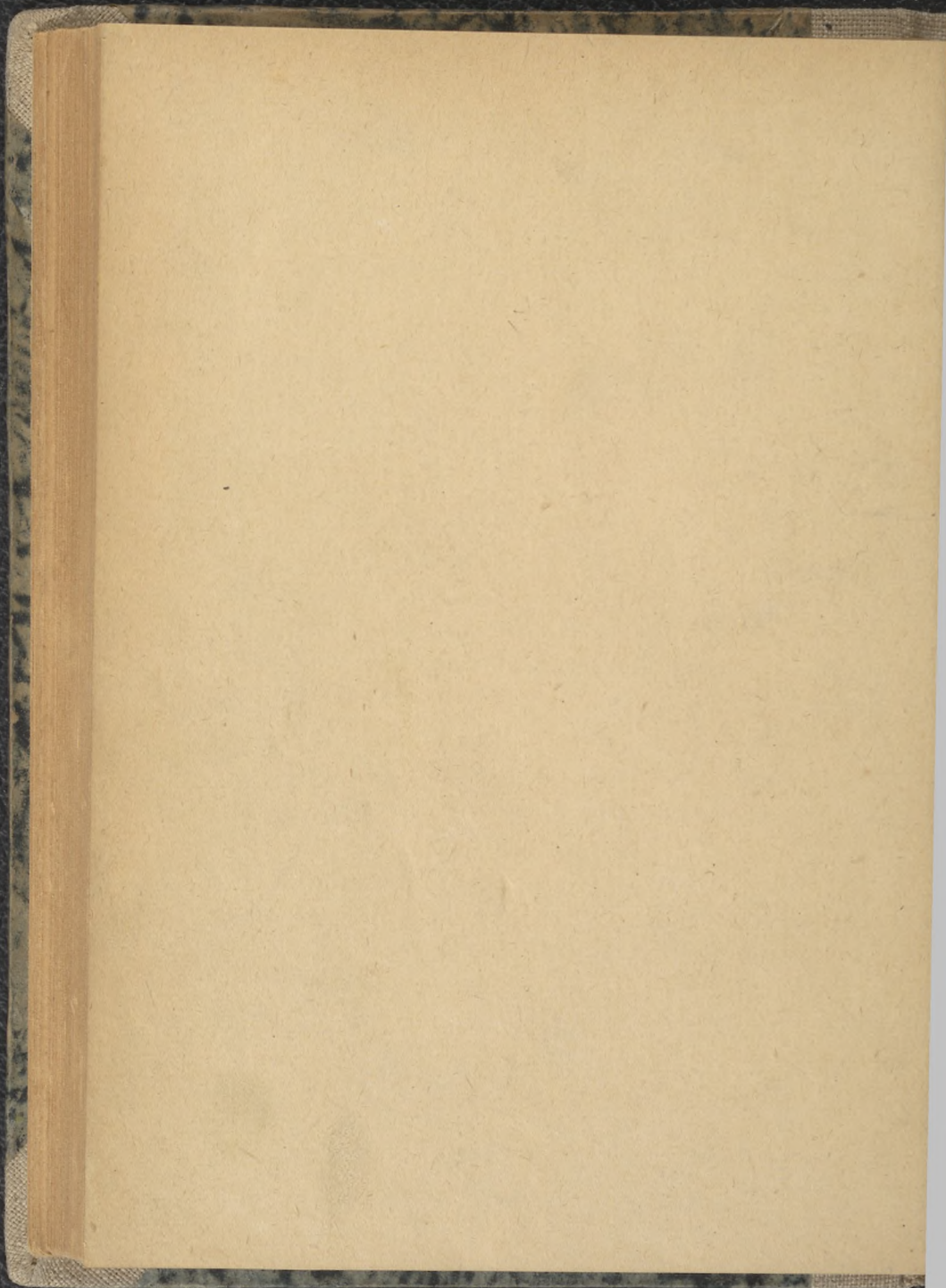
— My, my, my! — wołają kropelki wody błyszczące na kwiatkach, na listeczkach — to byłyśmy w tym białym obłoczku, co wczoraj płynął po niebie. Wiatr dmuchał przez całą noc, nagromadził dużo chmurek, rozsunął je po całym niebie i jak widzisz, podlałyśmy ci ogródek.

— Oho! wiedziałam ja dobrze, że obłoczek ma jakąś robotę — rzekła dziewczynka — jakiż on grzeczny, że przyszedł podlać mój ogródek.

W tej chwili wiatr dmuchnął tak mocno, że wszystkie kropelki wody pospadały z listeczków i kwiatów na ziemię. Jedna tylko została na różyczce. Marynia tę różyczkę zerwała, zaniosiła mamie i opowiedziała jej o białym obłoczku.









## T R E S C:

	Str.
Sędziwa sosna . . . . .	7
Wróbelki . . . . .	15
Wisienka . . . . .	35
Kury i kaczki . . . . .	45
Jaskółki . . . . .	69
Wesele zięby . . . . .	95
Obłoczek . . . . .	137



## KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

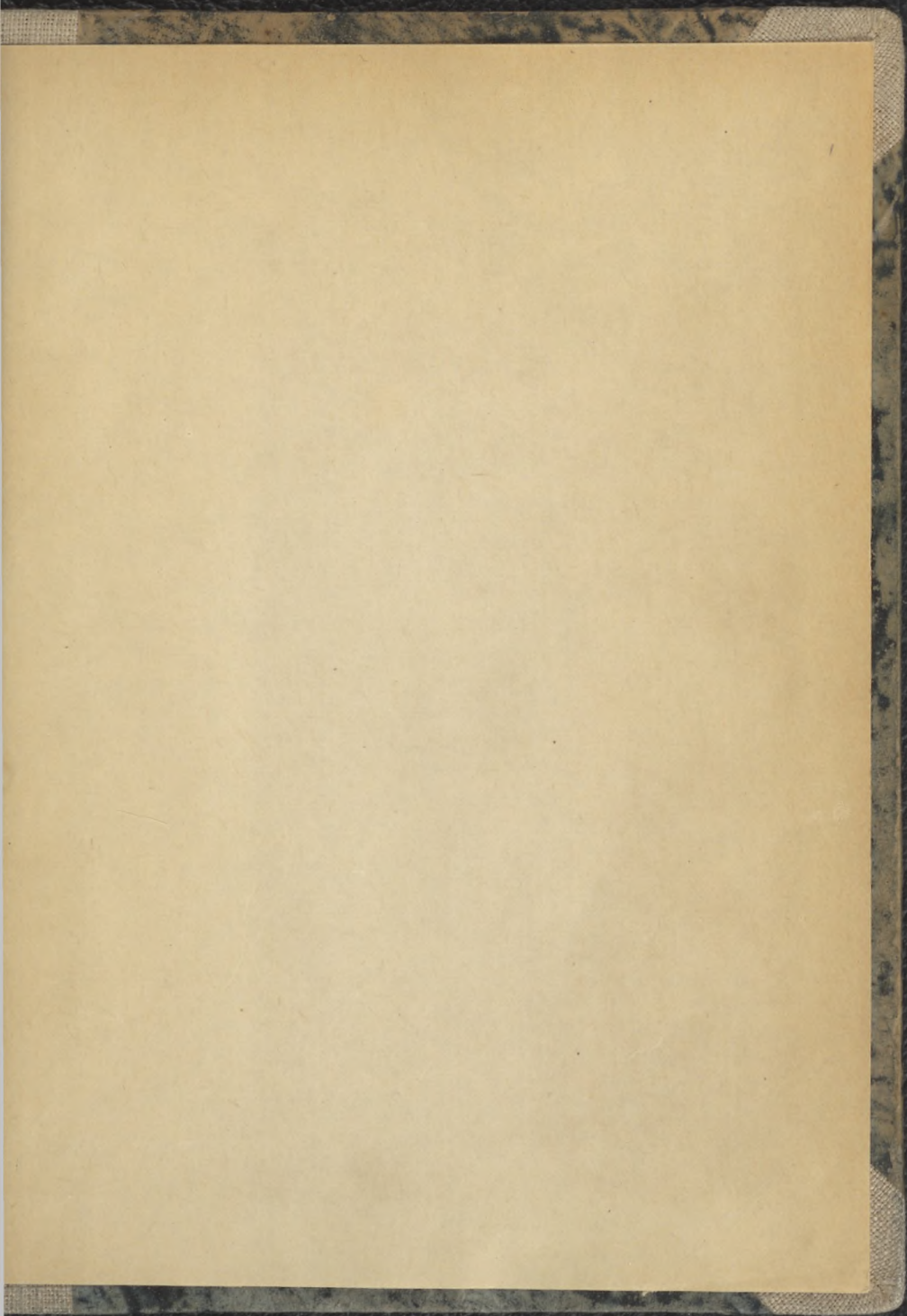
---

### WYBÓR Z KATALOGU GEBETHNERA I WOLFFA

- AMICIS S. **Serce**. Przekład Marii Konopnickiej. Wydanie autoryzowane. Str. 368 z 8 rycinami . . . . . karton 6.—
- ANCZYC WŁ. L. **Duch puszczy**. Opowiadanie z borów amerykańskich. Oprac. Wł. L. Anczyca według dra Birda. Str. 288 z 6-ma ryc. St. Sawiczewskiego kart. 9.—
- **Perły**. Wyd. V . . . . . karton 7.80
- **Przypadki Robinsona Kruzoe**. Str. 384 z 10-ma ryc. i licznymi drzeworytami . . . . . karton 9.60
- BEECHER-STOWE. **Chata wuja Toma**. Powieść. Str. 258 z 4-a rycinami . . . . . karton 4.80
- BURNETT Fr. **Mały lord**. Powieść. Str. 272 z 16-ma ilustracjami i okładką barwną. T. Różankowskiego. Tłumaczyła M. Zaleska . . . . . karton 9.60
- **Tajemniczy ogród**. Powieść. Str. 296 z 8-ma ilustracjami W. Sołowijówny. Tłumaczyła J. Włodarkiewiczówna . . . . . brosz. 6,40, karton 8.—
- CARROLL L. **Ala w krainie czarów**. Wolny przekład z angielskiego M. Morawskiej. Str. 156 z wieloma ilustracjami . . . . . karton 7.60
- GRABOWSKI J. **Jak Tomek Kowalczyk do nieba się dostał**. Str. 80 z 20 rys. W. Szyndlera, br. 1,80, karton 4.—
- **Wicek Świerszczyk i Karaluch Smalec**. Str. 60 z 15 rys. Wł. Szyndlera . . . . . brosz. 1,80, karton 4.—
- BRACIA GRIMM. **Baśnie**. Oprac. C. Niewiadomska. Wyd. V z 16 rysunkami w tekście . . . . . karton 8.50
- ROGOSZÓWNA Z. **Dzieci pana majstra**. Opowieść fantastyczna, wierszowana żartobliwie dla dzieci. Str. 168 z liczn. ilustracjami K. Mackiewicza . . . . . karton 10.—
- ROMIN S. **Cudowne wakacje Janka-Szewczyka**. Str. 104 z liczn. ilustr. wielobarwn. E. Kanarka . . . . . 5.60
- SWIFT J. **Podróże Guliwera** w układzie dla młodzieży. Str. 260 . . . . . karton 8.—
- URBANOWSKA Z. **Gucio zaczarowany**. Powieść dla starszych dzieci. Str. 152 . . . . . karton 7.60
- ZALESKA M. J. **Bajeczki prawdziwe**. Wyd. X, karton . . . . . 7.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH







THE HISTORY OF THE

REIGN OF

CHARLES THE FIRST

BY

JOHN BURNET

OF

SCOTLAND

IN

SEVEN VOLUMES

THE SECOND

VOLUME

OF

THE

REIGN

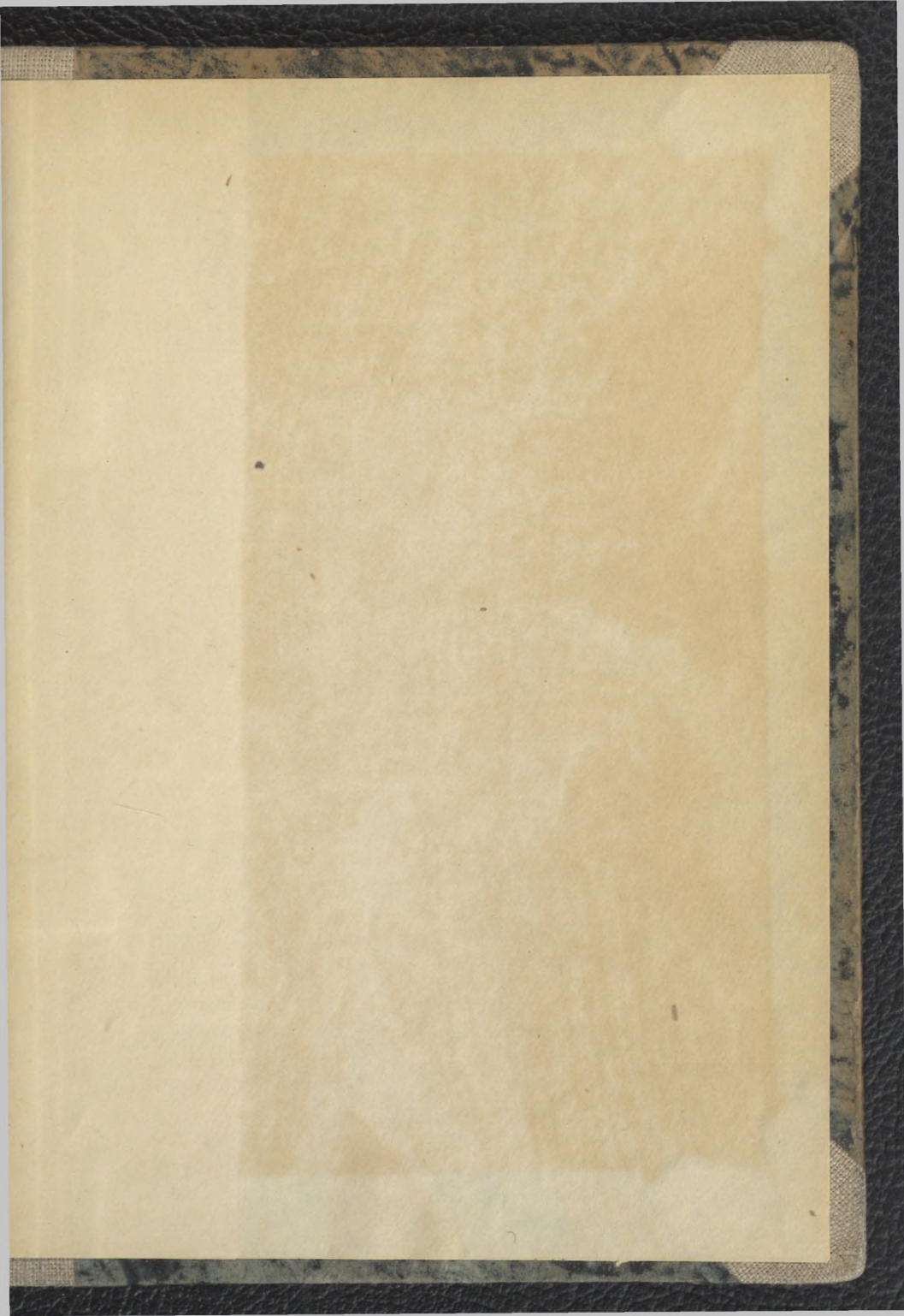
OF

CHARLES

THE

FIRST









492427

BIBLIOTEKA  
NARODOWA